

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

22.10.72

43 (779) Rok XV Cena 1.50 zł

KAROL BADZIAK

Powtórzenie ZBRODNI



Każde morderstwo elektryzuje opinię publiczną, budzi niepokój, obawę, lęk. Zbrodnia Konstantego Federa i Janusza Dębińskiego wywołała powszechną odrazę i jednocześnie bardzo duże zainteresowanie szczegółami sprawy, a to ze względu na samą scenę przestępstwa: ucieczka, pościg i w końcu schwytywanie morderców. Teraz, gdy już znajdują się pod kluczem, ich głupota, bezmyślność i okrucieństwo nikomu nie zagrażają bezpośrednio, warto im się bliżej przyjrzeć. Dobrą okazją może być wizja lokalna. Czynność ta jest dość groteskowa i zarazem głęboko tragiczna. Powtarza się dokładnie okoliczności mordu z tym, że bandyci zamiast prawdziwych narzędzi zbrodni dostają do rąk atrapy. Wszystko jest tam umowne, sztuczne, tylko mordercy są autentyczni.

Październikowy dzień był wyjątkowo piękny, kiedy na miejsce przestępstwa do Rszewa przywieziono skutych kajdankami przestępców, piękny tym jasnym, niepowtarzalnym słonecznym blaskiem, który fascynował od lat wiele pokoleń polskich malarzy. Bardzo smutny musi być powrót z takiego słonecznego pejzażu do mrocznej celi. Leśna droga kończy się szeroką polaną, zamkniętą wysoką ścianą białych brzoź. To do tego miejsca dojechał 14 września taksówkarz Czesław Pacha, nie przeczuwając, że to będzie jego ostatni kurs.

Dwaj młodzieńcy powtarzają tutaj jeszcze raz swą zbrodnię. Ścisłe, ze wszystkimi szczegółami, dokładnie odtworzają całą ohydę dokonanego czynu. „Po strzale, co było?” — zapytuje oficer milicji. Beznamiętnie relacjonują cały tok zdarzeń. Rzecz sprowadza się do opisu technicznego zbrodni. Sfera emocjonalna, moralna, etyczna zostanie omówiona dopiero na wokandzie sądowej. Przystępcy nie robią wrażenia ludzi głęboko wstrząśniętych lub przejętych swą rolą. Feder jest raczej otepiały, co przy jego ociężałości umysłowej nie powinno dziwić. Na obliczu Dębińskiego błąka się sardoniczny uśmiešek, który może być równie wyrazem osobliwego rodzaju satysfakcji, co i histerycznego strachu. Aż taki wnikliwy psycholog i fizjonomista to ja nie jestem.

Dalszy ciąg na str. 4

SZANSA MŁODYCH NAJWAŻNIEJSZE:

MIEĆ CEL W ŻYCIU

Pięcioro młodych z ZAKŁADÓW PRZEMYSŁU BAWELNIANEGO im. J. MARCHLEWSKIEGO — „POLTEX”. Łączy ich nie tylko praca w jednej fabryce. Łączy ich wspólny fragment z życiorysu. Wszyscy, poza jedną osobą, przyszli do „Marchlewskiego” jako uczniowie zasadniczej szkoły zawodowej. Tu, pracując, uczyli się dalej, zdobyli zawód, ale nie poprzestali lub nie poprzestaną na tym, co już osiągnęli.

STANISŁAW CHLAPIŃSKI — pracownik oddziału fotorytowni, ukończył tylko trzy klasy Technikum Ekonomicznego i zmuszony warunkami rodzinnymi rozpoczął w 1965 roku pracę w ZPB im. J. Marchlewskiego, początkowo na oddziale drukarni rotacyjnej, a później

w fotorytowni. Myśli o dalszej nauce. Chciałby pójść albo do Technikum Włókienniczego, albo do szkoły dla przodujących robotników.

MACIEJ FORNAŁSKI — pomocnik drukarza. W fabryce od 1966 roku, najpierw jako uczeń zasadni-

czej szkoły przyzakładowej, a po jej ukończeniu — pracownik drukarni rotacyjnej. Jest słuchaczem rocznego kursu dla drukarzy, a po jego ukończeniu wybiera się do Technikum Włókienniczego.

STANISŁAW KACZMAREK — mistrz na oddziale

bielnika. Do „Marchlewskiego” przyszedł w 1962 roku jako uczeń zasadniczej szkoły zawodowej. Po jej ukończeniu uczy się dalej w Technikum Włókienniczym. Nie poprzestaje na tym. Z dyplomem technika idzie na dwuletnie Studium Ekonomiczne. Uczy się i pracuje.

Dalszy ciąg na str. 6

O TYM CO SIĘ DZIEJE

Nad Zurychskim Jezioziem

PISZE

WITOLD GÓRALSKI

Do najlepszego hotelu w Düsseldorfie — Breidenbacherhofu wchodzi z pewnym zażenowaniem. A wszystko to z tego, że za chwilę mam spotkać się z człowiekiem, który olbrzymią kwotę, wręcz fortunę, przeznaczył na uratowanie jednej z największych polskich tradycji narodowych — Muzeum Polskiego w Rapperswilu. Jak ocenić gest człowieka, który od lat interesuje się i sprowadza na Wawel, do skarbcza narodowej kultury, „polonica” z całego świata? Człowieka, który u schyłku swego życia postanowił wybudować nie własny pomnik, lecz pomnik tradycji i historii polskiej, w środku Europy, w Szwajcarii, w polskim Rapperswilu?

Dr JULIAN GODLEWSKI czeka już na mnie w wyściełanych perskimi dywanami pokojach recepcyjnych reprezentacyjnego hotelu. Mimo podeszłego wieku — prawie sportowa sylwetka, staranny ubiór, inteligentna, o szlachetnych rysach twarz — tworzą postać ni to bogatego pałacyjusa, któremu przyszło żyć we współczesności, ni to polskiego arystokraty schronionego w emigracyjnej Europie. Witamy się czule. Od lat łączy nas zażyła przyjaźń. Kiedy wreszcie siadamy w zaciszu breidenbacherowskiej restauracji, z ust mojego rozmówcy zaczyna płynąć opowieść o zamku, tradycji i historii, które, na Boga, ratować trzeba. Wkrótce sam będę miał okazję to zobaczyć.

1.

Do Zürichu dojeżdżam w ciepły, letni wieczór. Szwajcarzy, którym zaczął się wymykać tranzyt północnych Europejczyków nad południowe morza, zastosowali błyskawiczną „rekonstrukcję”, budując w imponującym tempie autostradę Nord — Süd

Dalszy ciąg na str. 6

ANDRZEJ GRUN





W listopadzie w Stanach Zjednoczonych i NRF odbędą się wybory. W pierwszym przypadku prezydenckie, w drugim — parlamentarne. W obu jednak ich stawką może być polityka zagraniczna. Zmiana bowiem obecnych ekip rządzących byłaby niemal równoznaczna ze skorygowaniem kursu politycznego: Waszyngton — wobec Indochin, Bonn — wobec Europy Wschodniej. Dlatego zainteresowanie wyborami w USA i NRF jest większe niż zazwyczaj.

W Stanach Zjednoczonych republikanie i demokraci nasilają obecnie kampanię wyborczą. Zrezygnował z niej tylko prez. Nixon, któremu liczne sondáže dają już wysoką przewagę nad McGovernem. Kandydat demokratów jednak nie kapituluje. Codziennie wygłasza po kilka przemówień. Znamienne, że czołowi działacze partii demokratycznej — Kennedy, Humphrey, Muskie, którzy zadeklarowali poparcie dla McGoverna, wspierają go zdawkowo. Demokratyczna większość w Kongresie natomiast w ogóle nie angażuje się w kampanię kandydata swej partii.

McGovern nadal przedmiotem swej krytyki pod adresem obecnej administracji czyni przede wszystkim politykę indochińską Waszyngtonu. Atakuje on Nixona i jego ekipę za niedotrzymanie obietnicy zakończenia wojny.

Nixon, jak wydaje się, dostrzega grożące mu z tej strony niebezpieczeństwo. Tym właśnie wielu obserwatorów uzasadnia fakt, że Waszyngton, który w maju br. oficjalnie zawiesił rokowania paryskie, prowadzi rozmowy z negocjatorami Demokratycznej Republiki Wietnamu kanałem nieoficjalnym. Ostatnio, w związku z pięciodniowymi rokowaniami doradcy prezydenta — Kissingera z przewodniczącym delegacji DRW w Paryżu, rozszedł się pogłoski o „przyspieszonym rytmie” negocjacji i pewnym postępie. Nadzieje jednak okazały się przedwczesne, zaprzeczono im kolejne nasilenie bombardowań terytorium Wietnamu Północnego.

Ofiarą tych nalołów stała się również delegatura francuska w Hanoi (rodzaj konsulatu), co wywołało protest rządu francuskiego wobec Waszyngtonu i słowa oburzenia prez. Pompidou.

Na temat tego incydentu „New York Times” pisze m. in.:

„Zniszczenie przedstawicielstwa francuskiego uwydatnia w dramatyczny sposób sprzeczności polityki administracji Nixona... Nie ma żadnego dowodu, że ten incydent był wynikiem jakiegoś obłądka ze strony wojskowych. Jak rzekomo „nieautoryzowane” naloły... Trudno jest nie wyciągnąć wniosku, że prezydent jest w toku prowadzenia kampanii dyplomatycznej środkami terroru. Obecna polityka bombardowań dla obrony zdyskredytowanej sprawy jest, jak to powiedział słusznie McGovern, moralnie nie do obrony”.

Mimo tych zaostżeń w wojnie wietnamskiej — nie ustają spekulacje na temat możliwości osiągnięcia kompromisowego porozumienia. Czy kryje się za nimi rzeczywisty postęp w tajnych rozmowach, czy też tylko próba wytrącenia McGovernowi jego, szłołowego atutu wyborczego — jeszcze nie wiadomo. Tak czy inaczej — wojna wietnamska mocno wkroczyła w kampanię wyborczą w USA.

W zaawansowanej fazie znajdują się również przygotowania do wyborów w NRF. Na 7 tygodni przed datą wyborów do Bundestagu partie dotychczasowej koalicji — SPD i FDP sprzecywały swe cele. W kilka dni później — na zjeździe SPD Brandt wyłożył swe polityczne credo. Koalicja socjalliberalna — powiedział — chce zdobyć w wyborach jednoznaczność większość i utworzyć ponownie rząd federalny. Nasza partia jest zdolna do rządzenia, jest partią czwartą politycznie i partią reform. CDU/CSU natomiast nie jest zdolna do przejęcia odpowiedzialności rządowej — ani z punktu widzenia konieczności reform, ani dopasowania się do polityki pokojowej.

W okresie wielkiej koalicji (przed wrześniem 1969 r.) — przypomniał kanclerz Brandt — za sprawą chadecji NRF nie przyłączyła się do układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej, mimo że pod tym dokumentem widniały już podpisy 98 państw. A znacznie później — w okresie ratyfikacji układów z ZSRR i Polską. Czy wówczas chadecja nie dyskwalifikowała się ostatecznie? W decydującej dla losów narodu sprawie nie miała ona odwagi zająć stanowiska i dlatego uciekła na pozycję neutralności. CDU/CSU nie może już płynąć pod prąd ogólnoswiatowych tendencji na rzecz odprężenia ale też nie chce w nim brać aktywnego udziału. Jej dopasowywanie się do pokoju jest co najwyżej taktyczne.

Kanclerz zapowiedział dalsze aktywne uczestniczenie jego partii w dialogu Wschód — Zachód, stwierdzając m. in., że „obrona, w której pokładamy największą nadzieję, to prowadzenie cierpliwie realistycznej polityki pokojowej”.

Przeprowadzone niedawno sondáže przez 11 dzienników i tygodników zachodniemieckich dają przewagę wyborczą SPD. Wskazują również na wzrost poparcia dla Brandta w stosunku do okresu sprzed trzech miesięcy (o ok. 3 punkty). Nie najgorsza to prognoza dla dotychczasowej koalicji rządowej. Ale do wyborów jeszcze ponad miesiąc.

Z wydarzeń tygodnia odnotujemy ponadto zapowiedzi dwóch ważnych wizyt w Moskwie: egipskiego premiera Sidki oraz premiera rządu Włoch — Andreottiego, a także zakończenie debaty generalnej w ONZ. Zabrało w niej głos 125 przedstawicieli państw członkowskich. Na debacie tej — stwierdzają zgodnie komentatorzy — wycisnęły piętno wielkie procesy światowe: porozumienia amerykańsko-radzieckie, wychodzenie z izolacji ChRL oraz normalizacja stosunków w Europie.

W. SŁAWSKI

W przededniu 29 rocznicy bitwy pod Lenino — święta Wojska Polskiego — I Sekretarz KC PZPR Edward Gierek odwiedził żołnierzy najstarszej jednostki lotniczej Ludowego Wojska Polskiego — 1 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa” Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. Po defiladzie i pokazach indywidualnego i zespołowego pilotażu bojowego odbyło się posiedzenie Rady Wojskowej MON z udziałem I Sekretarza KC i towarzyszących mu członków Biura Politycznego. Z okazji święta Ludowego Wojska Polskiego Edward Gierek złożył serdeczne życzenia oraz przekazał podziękowania dla wszystkich żołnierzy i pracowników przemysłu obronnego kraju, za ich ofiarną służbę i pracę nad u macnianiem sił obronnych PRL.

„Wojsko Polskie — stwierdził m. in. I Sekretarz KC — wnosi cenny wkład w rozwój narodowy naszej socjalistycznej ojczyzny, jest dobrą szkołą wychowania obywatelskiego, aktywnym uczestnikiem życia społeczno-politycznego i rozwoju gospodarczego kraju. LWP jest jednym z ważnych niezawodnych ogniw sił obronnych wspólnoty socjalistycznej; czujnie i wiernie stoi na straży bezpieczeństwa narodowego i pokojowego budownictwa socjalistycznego. W ten sposób przyczynia się do utrwalenia pokoju na świecie”.

Również z dużym uznaniem I Sekretarz KC mówił o ideowo-wychowawczej i szkoleniowej pracy dowódców, aparatu partyjno-politycznego, organizacji partyjnych i Kół Młodzieży Wojskowej, która w efekcie gwarantuje wysoki poziom dyscypliny, gotowości i zdolności bojowej naszych sił zbrojnych.

12. X. 1972 r. w Dniu Wojska Polskiego społeczeństwo całego kraju oddało hold pamięci bohaterów poległych w walkach o wyzwolenie narodowe i społeczne. Pod pomnikami upamiętniającymi męstwo polskiego i radzieckiego żołnierza, na żołnierskich cmentarzach i miejscach straceń zapłonęły znicze; żołnierze WP i kombatanci zacięgnęli warty honorowe, złożono wieńce i kwiaty.

Minister d/s Kombatantów gen. M. Grudziński wręczył grupie kombatantów za udział w walce z faszystami i osiągnięcia w pracy zawodowej i społeczno-politycznej — wysokie odznaczenia przyznane im przez Radę Państwa.

Dorocznym zwyczajem minister

Obrony Narodowej gen. W. Jaruzelski przyznał naukowcom i twórcom zajmującym się problematyką wojska i obronności kraju — nagrody i wyróżnienia. Nagrody Istotnia otrzymali m. in. prof. Stefan Kieniewicz — za całokształt badań nad walką wyzwolenczą narodu polskiego w XIX wieku, oraz znany publicysta pos. E. Osmańczyk.

Również tradycyjnym zwyczajem odbyła się w Belwedrze uroczystość wręczenia aktów nominacyjnych kilku nastu generałom. Zwracając się do generałów przewodniczących Rady Państwa powiedział: „Ludowe w znacznej większości pochodzenie społeczne, postawa po-

lityczna oraz wyższa wiedza ogółu naszej kadry oficerskiej, wysokie pod każdym względem walory wyższej kadry dowódczej — to gwarancja, że w dobre ręce oddajemy wychowanie obronne całej polskiej młodzieży; że coraz wyższa technika obronna będzie należycie wykorzystywana”.

Prof. Jabłoński przypomniał również w swym wystąpieniu jakże wymowne słowa Hugona Kollataja: „Niech edukacja nasza uosabia młodź Polaków na obywateli i żołnierzy, trzymając w jednej ręce światło prawdy w drugiej miecz obrony ojczyzny, a dokażemy wszystkiego”.



13 bm. odbyła się w Belwedrze uroczystość dekoracji odznaczeniami państwowymi zasłużonych dla polskiej oświaty pedagogów i pracowników placówek oświatowych. Z tej okazji zaproszono z całego kraju 97 wychowawców i nauczycieli. Nowy termin obchodów

W Katowicach odbył się jubileuszowy X Zjazd Związku Zawodowego Górników. Uczestniczyło w nim 300 delegatów reprezentujących 670-tysięczną rzeszę pracowników polskiego górnictwa. W Zjeździe uczestniczył — niezwykle serdecznie witany — Honorowy Górnik, I Sekretarz KC PZPR — Edward Gierek.

W Warszawie zakończyła obrady dwudniowa sesja naukowa zorganizowana z okazji 90 rocznicy Wielkiego Przejścia. Sesja miała charakter międzynarodowy. Wzięło w niej udział blisko 200 naukowców ze wszystkich państw socjalistycznych.

Odbyło się plenarne posiedzenie rządowego zespołu ekspertów, na którym przedstawiono wyniki wstępnych analiz i ocen w odniesieniu do wielkich aglomeracji miejskich. Do połowy przyszłego roku ma być opracowany projekt ogólnokrajowego planu zagospodarowania przestrzennego.

J. ŻAK

A PLENUM KW PZPR W ŁODZI. W ubiegłym tygodniu na plenarnym posiedzeniu Komitetu Wojewódzkiej partii w Łodzi zajmował się problemami pracy ideowo-wychowawczej w dużych zakładach przemysłowych województwa łódzkiego. W obradach uczestniczył sekretarz KC PZPR — JERZY LUKASZEWICZ.

„Świadomi jesteśmy faktu — powiedział w referacie, otwierającym dyskusję sekretarz KW PZPR — JAN DEBOWSKI — że realizacja programu rozwoju społeczno-gospodarczego nakreślonego przez VI Zjazd uzależniona jest od maksymalnego pełnego wykorzystania zasobów energii tkwiących w społeczeństwie, jego zdolności twórczych i organizacyjnych oraz ideowego zaangażowania. Trudne i napięte zadania w przemyśle, w budownictwie, transporcie, rolnictwie i handlu, realizować będą ludzie pracy, a zwłaszcza przodująca siła narodu — klasa robotnicza.

Od zaangażowania ludzi pracy, ich świadomości politycznej i umiejętności zawodowych uzależniona będzie wielkość osiągniętych wyników. Decydująca rola w walce o konkretyzacje zamierzonych celów przypada wielkim zakładom przemysłowym, skupiającym podstawową kadre klasy robotniczej, zdolna do podjęcia zadań wynikających z rewolucji naukowo-technicznej oraz do samodzielnego politycznego działania”.

Dyskutanct, którzy zabrał głos po referacie, wiele uwagi poświęcili różnym formom pracy wychowawczej. Mówiono o skomplikowanych procesach adaptacji młodych w zakładach pracy i o wychowawczym znaczeniu tych procesów. Właśnie w tym okresie, kiedy młody człowiek poznaje miejsce przyszłej swej pracy, może powstać silny z nim związek, może ukształtować się określone nawyki i przyzwyczajenia.

Spora uwagę dyskutanct poświęcili sprawom politycznym i wychowawczym znaczenia dobrze przeprowadzonego zebrania partyjnego, mówili o niedostatkach szkolenia partyjnego oraz o potrzebie przedstawiania się wszystkim członkom partii różnego rodzaju przejawom zła i niesprawiedliwości.

W dyskusji głos zabrał również sekretarz KC PZPR — JERZY LUKASZEWICZ, który szczególnie zwrócił uwagę na fakt, że wycieczka polityki partii stała się więz wszystkich organizacji partyjnych z całą klasą robotniczą. Podstawowym obowiązkiem wszystkich organizacji partyjnych — przypomniał sekretarz KC — jest utrwalanie wśród społeczeństwa tei prawdy, że przyszłość całego kraju, jak i przyszłość każdego z nas zależy tylko od nas samych, od

naszej postawie, pracy, wiedzy i umiejętności.

Komitet Wojewódzki — w drugim punkcie obrad — przychylił się do prośby WŁODZIMIERZA WÓSKOWSKIEGO, który odchodził do pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i zwołał go z funkcji członka Egzekutywy KW PZPR. Na to miejsce wybrano I sekretarza KW PZPR w Piotrkowie Tryb., — HENRYKA KACZMARKA.



A BUDOWAĆ, ALE JAK? Nad tym pytaniem zastanawiali się przedstawiciele kierownictwa władz partyjnych Łodzi i województwa łódzkiego w czasie spotkania z zespołem powołanym przez Radę Ministrów do analizy zadań inwestycyjnych na przyszły rok. Dla Łodzi i województwa łódzkiego, które posiadają ogromne potrzeby gospodarcze i społeczne problem budowania rozbija się o brak możliwości produkcyjnych przedsiębiorstw budowlanych. Trudne i skomplikowane zadania inwestycyjne — jak się okazuje, mimo postulatów o impetu możliwości produkcyjnych z innych regionów kraju — budowlani łódzkiego okręgu przemysłowego będą musieli wykonać sami. Pozostaje więc rewizja zadań inwestycyjnych i przekazanie drobnych prac spółdzielczości i brygadom robotniczym różnych przedsiębiorstw, pozostaje doskonalenie organizacji pracy, lepsze wykorzystanie posiadanego sprzętu, a także — a właściwie przede wszystkim — ludzkiej umiejętności.

A POTRZEBA CENNYCH INICJATYW. Z takim apelem do społeczeństwa Ziemi Łódzkiej zwrócił się Wojewódzki Komitet FJN. Wystosowano apel do mieszkańców województwa łódzkiego, w któ-

rym wskazuje się, że dalszy rozwój regionu zależy głównie od inicjatyw jego obywateli.

Na plenarnym posiedzeniu WK FJN wybrano przewodniczącym WK sekretarza Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego — FRANCISZKA KOCIEMSKIEGO.

A LKS — LIDEREM. Seria sukcesów dała drużynie pikarskiej LKS pierwsze miejsce w tabeli ligowej. O tym nikt nie marzył. Podejrzewamy, że nawet sami pikarze i działacze LKS. Ale stało się. I teraz wszystkich kibiców nieka pwanie: utrzymajcie się? Co do tego nie ma wątpliwości, że LKS nie będzie długo liderem i ligi. Jak nisko jednak spadnie — oto jest pytanie?

A TRAMWAJ W KONOPNICY. Konopnica jest interesująca wsia w powiecie wieluńskim. Jest to wieś, gdzie mieszka wielu ludzi z inicjatywą, którzy potrafią już niejedno zmienić w Konopnicy. Obecnie mieszkałyby Konopnicy przyłączyli do realizacji apelu „Dziennika Łódzkiego”, który wzywał do organizacji dowożenia dzieci do szkoły. W Konopnicy będzie kursował „tramwaj”. Składać się on będzie z ciągnika i przyczepy, w której uczniowie jadący do szkoły będą mogli wygodnie i bezpiecznie odbyć te codzienną podróż.

A NIE DALEKO ŁODZI. Od dłuższego już czasu „Życie Pabianic” — tygodnik społeczno-informacyjny, ukazujący się już od 15 lat w Pabianicach — informuje o wielu interesujących inicjatywach kulturalnych miasteczka. Niedawno odbyły się dni kultury Pabianic, obecnie zaplanowano obchody 50 ROCZNICY POWSTANIA PAŃSTWA RADZIECKIEGO. W Pabianicach, które leżą nie tak daleko od Łodzi, studenci łódzkiego wyższej uczelni, stale mieszkający w Pabianicach — mają swój Klub Studenta. Miejsmy nadzieję, że klub ten będzie nie tylko miejscem spotkań, ale też okaże, że studenci potrafią prowadzić ciekawe życie klubowe.

A ŁÓDZKIE PREMIERY. W klubach występują teatry studenckie, odbywają się spotkania i dyskusje. Na gościnne występy do Łodzi zjechała Wrocławska Pantomima. Przyjedzie też Teatr Maski i Łalki „Grotteska” z Krakowa. Łódź odwiedzi „Piwnica pod Baranami” z trygo Krakowa.

Z premierami wystąpiły teatry: Muzyczny — „Obiektem mojej żony” Jerzego Waldena i Piotra Hertla, Pinokio — „Stara basń” według Józefa Ignacego Kraszewskiego, „Łódzka Estrada” — ze składanką pt. „Estrada do wynajęcia”.

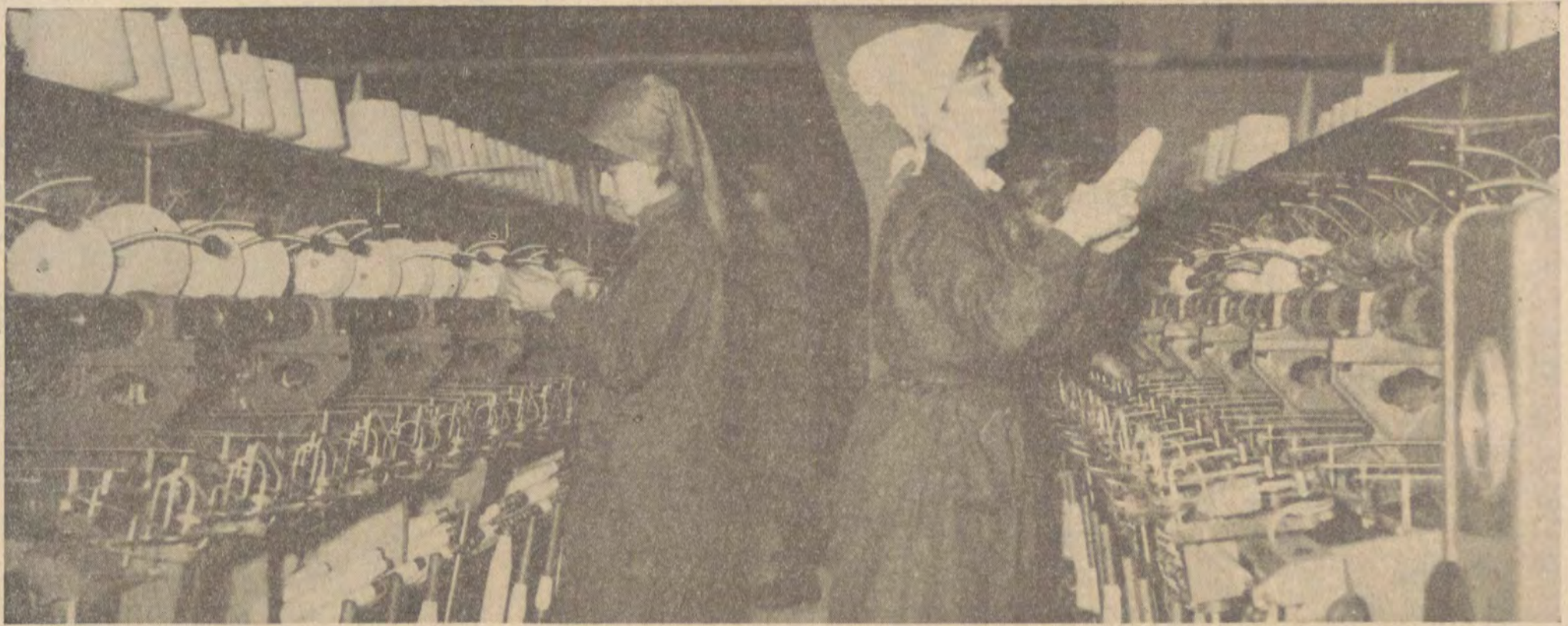
M. RODAK



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KAROL BADZIAK, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), TERESA WOJCIECHOWSKA.

PRZEZ DWA DNI — 13 I 14 PAŹDZIERNIKA BR OBRADOWAŁ W ŁODZI VII KRAJOWY ZJAZD ZWIĄZKU ZAWODOWEGO PRACOWNIKÓW PRZEMYSŁU WŁÓKIENNICZEGO, ODZIEŻOWEGO I SKÓRZANEGO. 265 DELEGATÓW PRZESZŁO 660-TYSIĘCZNEJ RZESZY PRACOWNIKÓW PRZEMYSŁU LEKKIEGO OCENIŁO DOTYCHCZASOWĄ PRACĘ SWEGO ZWIĄZKU I UCHWAŁIŁO PROGRAM DAJSZEGO DZIAŁANIA.



JAK NAJBLIŻEJ LUDZI

„Rok 1906. Jeszcze nie przebrzmiały echa kozackich salw na łódzkich barykadach, gdy w partii dojrzewała myśl zorganizowania związków zawodowych.

Pracowałem wówczas jako tkacz w fabryce Kindermana, której nje otynkowane mury z czerwonej cegły wznosiły się przy ul. Łąkowej. (Dzisiaj Zakłady im. I Dywizji Kościuszkowskiej).

Od myśli, dojrzewającej w umysłach działaczy partyjnych, do czynu, nie było daleko.

Tak rozpoczął swoje, opublikowane po latach wspomnienia, Józef Chruściak, współzałożyciel, zalegalizowanego 1 lipca 1907 roku, Związku Zawodowego Robotników Przemysłu Włókiennego w Królestwie Polskim. Data, którą tu nie przypadkowo przytaczam, wskazuje na tradycje tej profesjonalnej organizacji, noszącej dzisiaj nazwę Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókiennego, Odzieżowego i Skórzanego, zrzeszającego 661 tysięcy członków.

VII Krajowy Zjazd Delegatów tego związku, który właśnie odbywał się w Łodzi, uprzytomnił nam raz jeszcze znaczenie tej ogromnej armii pracowniczej i całego przemysłu lekkiego w gospodarce narodowej kraju. Uprzytomnił nam zarazem rolę samorządu robotniczego jako ważnego czynnika sprawowania władzy w Polsce i w uosobionych zakładach pracy.

Kryzys przedgrudniowy, który hamował rozwój demokracji socjalistycznej, objął swym zasięgiem także ruch związkowy. Ogromny ruch odnowy w partii i społeczeństwie zapoczątkowany przez VII i VIII Plenum KC PZPR, jako reakcja na ten kryzys, doprowadził do przywrócenia zawodowym organizacjom pracowniczym ich roli strażnika interesów ludzkich, walki o lepsze i bezpieczniejsze warunki pracy. Proces ten zapoczątkowany przez XXI Plenum CRZZ znalazł swoje odbicie także w stylu pracy Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókiennego, Odzieżowego i Skórzanego, który dokonał głębokiej analizy swojej dotychczasowej działalności. I, rzecz zastanawiająca, ruch związkowy wyszedł z tego procesu nie osłabiony, lecz wzmocniony, czego dowodem wzrost szeregów organizacyjnych o 41 tysięcy nowych członków. A przecież sytuacja przemysłu lekkiego była bardziej złożona niż w innych dziedzinach gospodarki narodowej.

Zacznijmy od przypomnienia podstawowej prawdy, którą chętnie powtarzają działacze związkowi: Wprawdzie jest to przemysł lekki z nazwy, ale praca w nim ciężka. W Łodzi tej prawdy nie trzeba zresztą przypominać, znają ją dziesiątki tysięcy kobiet zatrudnionych w zakładach bawełnianych, wełnianych. Dodajmy do tego niezbyt doskonały system płacowy. Toteż pierwszym posunięciem Związku Włókiennego, jak się go nazywa potocznie, było, po grudniu, porządkowanie dotychczasowego systemu płac. Doprowadziło to do szeregu korzyści dla pracowników rozwiązań: zrezygnowano ze skomplikowanego premiovania oraz z progresji, które fatalnie odbijały się na

KONRAD FREJDLICh

zarobkach. Jednocześnie też skrócono czas pracy na stanowiskach pracy uciążliwych i szkodliwych dla zdrowia, a takich nie brak w przemyśle lekkim, zwłaszcza w branży skórzaney i w mokrych przędzalniach lniarskich. Dzisiaj na tych najtrudniejszych wydziałach ludzie pracują 7 godzin zamiast 8.

Ale główny kierunek działalności związkowej dotyczył pracujących kobiet, które mają przewagę w przemyśle lekkim, stanowią podstawowy trzon kadry pracowniczej. Nie zapomniano, że praca w przemyśle, to zaledwie cząstka obowiązków kobiety, że równie wyczerpujące są zajęcia domowe. A przecież przy większym niż w jakiejkolwiek innej dziedzinie gospodarki procencie zatrudnionych kobiet, przemysł lekki charakteryzuje jednocześnie najwyższy w skali kraju współczynnik zmienności wynoszący 2,85. To, słabo przemawiająca do wyobraźni cyfra, oznacza po prostu pracę dzienną i nocną, na trzy zmiany, niemal każdego dnia, z wyjątkiem niedzieli, bo do tej pory udało się zlikwidować pracę nocną tylko w soboty.

Trzeba przyznać, że „kwestia kobieca“, której takim gorącym rzecznikiem jest Związek Włókienniczy, znalazła już szereg istotnych rozstrzygnięć. Przede wszystkim usunięto dotychczasową rażąca niesprawiedliwość i zrównano robotnice w uprawnieniach z pracownicami umysłowymi: otrzymały one 2 płatne dni w roku a wolne od pracy z tytułu opieki nad dzieckiem. Do niedawna przysługiwały im tylko dni wolne bez wynagrodzenia, toteż rzadko kto z nich korzystał. Poza tym, dzięki staraniom związku wydłużono okres opieki nad chorym dzieckiem z 30 dni w roku do 60. Rozlegały się wprawdzie głosy, że uprawnienie to może być nadużywane, ale związkowcy szybko wyperswadowali oponentom ich chorobliwą podejrzliwość.

Obok tych posunięć Związek czyni nieustanne starania o poprawę warunków pracy i większe jej bezpieczeństwo. Rewindykowane już większość pomieszczeń zajętych przed grudniem na cele przemysłowe, chociaż służące ludzi, zgodnie ze swoim przeznaczeniem, pracującym załogom. W bezpiecznym zorganizowanych magazynach wydają teraz, jak dawniej posiłki stołówki, czynne są zakładowe biblioteki zamknięte swego czasu na cztery spusty i zamienione na jakieś niewiadomego charakteru składziki i pakamery, funkcjonują ładnie i szatnie. Dla wielu zmian, choć nie dla wszystkich, stworzono także możliwości korzystania z ciepłych posiłków.

Ten proces przywracania znożnych warunków pracy i nieustannego ich polepszania, ani nie zdeprawował ludzi, ani nie zahamował produkcji. Uchwały partii i CRZZ zobowiązujące administrację do stałej troski o sprawy ludzkie są dziś surowo egzekwowane i nie może być od nich żadnych wyjątków. W poważnej mierze obowiązek czuwa-

nia nad wykonaniem tych uchwał spoczywa na działaczach związkowych, którzy, jak świadczy o tym liczne sygnały, wywiązują się z niego bez zarzutu. Ta aktywna postawa pozwoliła nie tylko odbudować autorytet związku wśród załóg, nadszarpięty nierozwiązanymi napięciami społecznymi z końca lat sześćdziesiątych, ale pogłębić jeszcze zaufanie, jak wykazał to przebieg całej kampanii sprawozdawczo-wyborczej. Wielu dotychczasowych mężów zaufania dostąpiło zaszczytu ponownego wyboru na fabrycznych oddziałach, to samo można powiedzieć o wyborach do rad zakładowych. A przecież dyskusja była gorąca i oceniano ludzi rzetelnie, jeśli niedostatecznie wywiązali się ze swoich obowiązków. Świadczy to o tym, że Związek jako całość zdał egzamin w tej trudnej próbie. Zdali także egzamin jego działacze i wybrani na konferencjach wszystkich szczebli delegaci, którzy z wielką powagą, odpowiedzialnością i rzeczowością reprezentowali swoje załogi. Można więc powiedzieć, że Związek Włókienniczy przyszedł na swój Zjazd z dużym dorobkiem, co oczywiście nie oznacza, że rozwiązano już wszystko i teraz, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, można przyglądać się rezultatom swojego działania.

Przemysł lekki, do niedawna zaniedbany, znajduje się dziś w ofensywie. Buduje się nowe zakłady i kombinaty, modernizuje się też stare. Związek czuwa, aby w tych nowo wznoszonych fabrykach nie zapomniano o kompleksowych urządzeniach socjalno-kulturalnych, aby budowano jednocześnie żłobki i przedszkola, stołówki i domy kultury. Związek domaga się jednocześnie przyspieszenia procesu modernizacji i przebudowy zakładów starych, w wysokim stopniu zdekapitalizowanych. Stawia problem ostro: albo modernizować, polepszając warunki pracy, albo likwidować. Wiąże się z tym zresztą wiele dodatkowych kwestii, obok których nie można przejść obojętnie. Przecież przekształcając zakład trzeba jednocześnie przekształcić ludzi, a trudno wymagać od starego człowieka, żeby natychmiast nauczył się obsługiwać nową maszynę. Wydajniejszą, ale też bardziej skomplikowaną.

Działacze Związku mówią: „Przemysł lekki da dodatkową produkcję na eksport i dla rynku wewnętrznego, ale nie kosztem ludzi“.

I przemysł lekki rzeczywiście daje dodatkową produkcję. W ramach akcji 20 miliardów pracownicy przemysłu lekkiego zobowiązali się dać dodatkową produkcję wartości 2 miliardów 550 milionów złotych. A już rozlegają się głosy, że zobowiązanie to będzie złożona przekroczyć.

Spróbujmy popatrzeć na tę suchą liczbę innymi oczami. Przecież w przemyśle lekkim zatrudnionych jest znacznie mniej niż dziesiąta część wszystkich pracujących w Polsce. Tymczasem wartość podjętych zobowiązań przekracza 12 procent całej akcji 20 miliardów. Świadczy to nie tylko o aktywności zawodowej włókienniczy i pracowników przemysłu skórzanego i odzieżowego. Świadczy to jednocześnie o wysokiej dojrzałości społecznej tych ludzi, w czym niemała zasługa ich Związku.

„LEWIATAN“

Wielką sensację w Łęczycy budził potwór, który grasuje w okolicy. Od pewnego czasu szczegółowo o jego przygodach donosi „Ziemia Łęczycka“. Redakcja zaprosiła nawet znanego „potworologa“ — prof. Ralphi Religha, aby naukowo zbadał pochodzenie i życie przedpotopowego tworu.

To zainteresowanie „Łęczycykim potworem“ nie podobalo się „Odgłosom“, czemu dały wyraz piórem Jerzego Darnala. Ostatnio „Ziemia Łęczycka“ odpowiedziała na kpinki „Odgłosów“. Nie rozumiem tylko dlaczego dr Wiktor Joss relacjonując przebieg rozmowy z prof. Ralphem Relighem napisał: „Jeden z łódzkich tygodników“. O ile mi wiadomo, w Łodzi wychodził jeden tygodnik i są nim „Odgłosy“. I to właśnie

one pisały o „Łęczycykim potworem“.

Poza tym nie rozumiem, dlaczego dr Wiktor Joss kpiny „Odgłosów“ potraktował aż tak serio, że obraził się na Jerzego Darnala i posadził go o zawiść, złość i zazdrość. Zastanawia mnie stale rosnący brak poczucia humoru. Chyba właśnie nie na płaszczyźnie żartu i kpiny, ale w dobrym tego słowa znaczeniu, powinna rozgrywać się cała rzecz. Tego typu wzajemne docinki są stare, jak sama prasa. I — moim zdaniem — powinno ich być znacznie więcej.

Jeśli już o tym piszę, to chciałbym przy okazji zwrócić uwagę, że zaginął u nas zwyczaj polemiki między poszczególnymi gazetami. Czy to tylko dlatego, że gazety nie starają się wyrobić sobie określonego stanowiska w danej sprawie? Czy może dlatego, że zgodnie

w narodzie umiejętność polemizowania?

A w sprawie „Łęczycykiego potwora“ więcej humoru, Drodzy Panowie!

JAROSŁAW KLONOWICZ
ŁĘCZYCA

DALEJ O „ODGŁOSACH“

Jestem stałą czytelniką „Odgłosów“, mało stała, długoletnia i wierna. W tym czasie wiele było zmian w „Odgłosach“: w ciągu tych lat, ale taka zmiana, jaka nastąpiła przed kilkoma tygodniami wybitnie nie podobają mi się. Chodzi mi o szatę graficzną pisma. Egzemplarz, który kupiłam dzisiaj, jest troszeczkę lepszy „na oko“ od dwu poprzednich, ale to nie to, to nie to!

Ludzie kochani! Gdzie są fotografie pięknych dziewczyn, gdzie są pejzaże (takich, jak np. był w numerze z 16. VII.?) Dlaczego teraz już z pierwsze

strony nie można dowiedzieć się, co ciekawego znajduje się w numerze. Czyżbyście się „pozbyli“ „Honorowej Odznaki miast Łódź“? Dlaczego nie ma noweli kryminalnej? Aha, na jej miejscu piszą Lektor i Wiodok, ale te felietony, zapewniam Was, zmieściłyby się na miejscu tych makabrycznych rysunków Andrzeja Gruma.

Gdzie są te foty z filmów? Nie ma humorów rysunkowych (choć każde najpoważniejsze pismo je zamieszcza).

Po co Wam te grube, czarne ramki? Od trzech tygodni „Odgłosy“ wyglądają bardzo smutno, smutno! mało — wyglądają jak nekrolog!

Nie, to nie jest kwestia przyzwyczajenia do dawnych „Odgłosów“, zapewniam Was.

Szata graficzna powinna ulec następnej zmianie!

URSZULA KUBISIAK

P.S. Proszę, zareagujcie na mój list.

OD REDAKCJI: Reagujemy, drukując list bez komentarza.

„NOWE“ ODGŁOSY

Jako stały czytelnik „Odgłosów“ jestem niezmiernie zadowolony z nowej szaty graficznej Waszego tygodnika i dlatego nie zgadzam się z panią Z. Dworniak (nr 40) jakoby „Odgłosy“ były „zbiorem obrzydliwych nekrologów“. A propos — nowel kryminalnych. Wrecz odwrotnie, w zamian za nieopieczony nowel kryminalny i inne rubryki, otrzymaliśmy nowe, ciekawe. Oby były one tylko stałe.

Zyczę Waszemu tygodnikowi wielu nowych Czytelników.

listy

MARIAN GALWA
Stobiecko Miejskie
pow. Radomsko



Patrząc na tych 18- i 19-letnich chłopców trudno oprzeć się refleksji, że tak idiotycznie rozporządzili swoim młodym życiem. Nie da się ukryć, że jest to dla chłopców wiek wyjątkowo głupi, ale jest to równocześnie wiek marzeń i projektów o wspaniałych przygodach, szlachetnych czynach, cudownych przeżyciach. Ekscytacja złem zdarza się bardzo rzadko, jest bowiem czymś niezgodnym z naturą młodości. To raczej z latami człowiek nikczemnie i parszywieje. Tymczasem, w tym wypadku, mamy do czynienia z młodymi ludźmi, którzy już dopracowali się zbrodniczego światopoglądu. Dębiński zwierzył się docho-dzeniowemu, że, owszem, żałuje, ale tego, iż nie trzasnęli taksówkarza i stolarza w miesiąc później, gdyż zmarnował mu się bilet miesięczny oraz nie weźmie już udziału w dwu świetnie zapowiadających się weselach w październiku.

Alte obiecuję, że jak go nie powieszają, to napiszę powieść kryminalną. Jeśli w tych słowach jest nawet poza, to ujawnia ona absolutną atrofję uczuć wyższego rzędu i przerażające spustoszenia w psychice tych osobników. Skąd i w jaki sposób ukształtowali i rozwinęli w sobie takie zbrodnicze skłonności? Oni nie byli tymi chuliganami, jakich spotyka się codziennie na rogatkach Konstąntynowa.

Komendant miejscowego posterunku MO, Szezezan Chachula: „Feder i Dębiński nie uchodzili za chuliganów, nie upijali się w knajpie, nie hałasowali na ulicy, nie wszczynali awantur w mieście, w ogóle ich nie było widać, chodzili własnymi drogami po okolicznych peryferiach, błądzili po łąkach i lasach. Trudno ich było podejrzewać, że knują tak potworną zbrodnię. Dwa tygodnie przed tym rozmawiałem z nimi i wszystko było w porządku. Ciągłe tu rozmawiamy z różnymi wyrostkami. Dzisiaj też od rana przesłuchaliśmy już chyba ze czterdziestu. Chodzi o wykrycie sprawców włamania do komórek. W zasadzie nic nie ukradli, trochę konfitur zniszczyli, lecz poprzestawali i poprzestali lokatorom zimowe zapasy. Zrobili sobie zabawę, chcieli w ten sposób skłócić sąsiadów, którzy powinni, według nich, zacząć się wzajemnie podejrzewać o kradzież. Awantury dostarczyłyby młodym rozrywki i rozwiąły prowincjonalną nudę”.

Następnego dnia odwiedziłem kompana przestępców, niejakiego Piotra K. Zastąpiłem go akurat nad lekturą „Expressu”. Jego matka: „Panie, on tym łobuzem zazdrości, że piszą o nich w gazecie. Co ja się z nim przez ostatnie trzy lata namęczyłam, co ja wycierpiałam, to jeden

— Jak to było z maltretowaniem psów?

— Dębiński chciał sprawdzić, czy z pistoletu można w ogóle coś żywego zabić. Koniecznie chciał się przekonać, a na psie było najłatwiej. Kiedy do nich przyszedłem szukali akurat w ciele psa pocisków. Feder miał rękawice ubabrane krwią.

W komórecie Dębińskiego, zwanej przez chłopców „letnią rezydencją” milicja natrafiła na egzemplarz „Mein Kampf”. Wewnątrz książki przyklejona była fotka Dębińskiego. Przydała się później do listu gończego.

Czy był to wpływ wojennych filmów, czy niektórych środowisk Konstąntynowa?

Naczelną dewizą Dębińskiego było: nie trzeba się uczyć, żeby zostać sławnym. Pseudonim jego brzmiał: porucznik Smigły. Podpisywał tym pseudonimem listy z tym, że sam podpis kamuflował.

Kompan Dębińskiego po długich poszukiwaniach wysperzał z szuflady pocztówkę, którą otrzymał od niego

gód chuligani na gościnne występy, to z kolei chuligani własnego chowu jeżdżą na zabawy do okolicznych wiosek. A taka wiejska zabawa bez totalnego i frontalnego mordobicia, nie jest udaną zabawą. Wyróżnia się pod tym względem banda Olsenów, która ma na swoim koncie 21 włamań. Do tej pory rozprawy sądowej jednak nie było.

Zycie ludzkie nie ma chyba w Konstąntynowie zbyt wielkiej wartości. Zginęło tu parę osób. Sprawców do tej pory nie wykryto. Z pobliskiej rzeki Ner wyłowiono np. zwłoki mężczyzny ze związanymi rękoma. W tym wypadku trudno nawet przypuszczać, że było to samobójstwo.

Miejscowe społeczeństwo nie kwapi się z pomocą. Jest to społeczność zamknięta w sobie, z wyraznym piętnem partykularizmu. Po ciasnych uliczkach snują się wykołajeńcy, których liczba jest kontrowersyjna — jedni obliczają na 50 — drudzy na — 500 osób. Liczba wszystkich mieszkańców Konstąntynowa wynosi feralnych 13.000.

Powtórzenie zbrodni

z Katowic. „Wiązankę miłych pozdrowień z Katowic przesyła porucznik Smigły”. Wynika z tego, że i do Katowic ten obiecujący młodzieniec trafiał. Najczęściej jednak zdradzali oni nudny Konstąntynów na rzecz Zakopanego. Ślad ich pobytu w zimowej stolicy jest dość realny. Właśnie w trakcie ścigania syna ojciec otrzymał z Nowego Targu odpis aktu oskarżenia, w którym m. in. Konstantemu Federowi zarzuca się:

24. XII. 69 r. — włamanie do kiosku i zabór towarów wartości 1800 zł.

31. III. 70 r. — włamanie do samochodu marki „Taunus” i kradzież aparatu fotograficznego oraz kapelusza wartości 4.500 zł.

31. III.—1. IV. 70 r. — włamanie do samochodu marki „Zastawa”, kradzież aparatu oraz innych przedmiotów wartości 6.201 zł.

8—9. IV. 70 r. — włamanie do sklepu WSS i kradzież mienia wartości 16.051 zł.

Okazuje się, że każde kolejne włamanie przynosi przestępcy większą korzyść. Finał jest taki, że młodocianych włamywaczy milicja wreszcie schwytała i skierowała do zakładu w Krzeszowicach. Jednakże 14 września 1970 r. znów ich spotykamy w Zakopanem, w kawiarni „Pyszna”. Tym razem milicja odbiera im dwa pistolety: TT i Mars Automatic. Młodzi ludzie mają duży arsenał, zresztą sami produkują „urzyny”. 8 marca br. bronią własnej roboty postrzelony został w nogę Konstanty Feder. Jak tam było naprawdę, nikt dobrze nie wie. Wedle wersji, jaką podali sami sprawcy, Feder przypadkowo postrzelił Piotr Kaczmarek. Padł strzał, rzecz się wydała,

W takim właśnie miasteczku, w ciasnocie życiowych horyzontów wychowali się Feder i Dębiński. Dębiński miał ambicje lidera, chciał skupić wokół siebie większą grupę złoczyńców, lecz mu się to nie udało. Snuł różne ponure plany i zastanawiał się nad porwaniem samolotu w celu ucieczki do NRF. Wreszcie skończyło się na usiłowaniu porwania taksówki. Namówił do tego Federa, z którym tydzień temu się poróżnił i na zgodę pojechali szukać szczęścia w Łodzi. Feder był tym ostatnim przyjaciele, który jeszcze pozostał chorobliwie ambitnemu Dębińskiemu. Wzajemnie się podpierali w przestępczej samokreacji. Obaj mogą się usprawiedliwić trudnym dzieciństwem z tym, że u Federa jest to bardziej przekonujące. Rzeczywiście musiał kraść, żeby mieć co jeść. Jeden raz się weszła, dziewięć razy uciekał z domu, dziczył w nędzy. Miejscowa opinia mówi o nim: teraz w więzieniu będzie mu lepiej niż w domu.

Zwykle w tego typu wypadkach szuka się przestępczego rodowodu w środowisku, rodzinie, w przestępczej aurze społecznego marginesu, oskarża się przy tej okazji szkołę, organizacje młodzieżowe i w ogóle całe społeczeństwo. Oskarża się społeczeństwo, lecz karę wymierza jednostce. Najmniejszy nacisk kładzie się natomiast na wolę, charakter, indywidualną odpowiedzialność samego przestępcy. W pewnym momencie przecież kończy się wina społeczeństwa, a zaczyna już wina samego przestępcy. Zresztą stosunek społeczeństwa do przestępcy jest zawsze niewłaściwy. Najpierw ludzie pomagają milicji go schwytać, ale później milicja musi go chronić przed gniewem społecznym. W sprawie Federa i Dębińskiego organa śledcze



Bóg wie. Jak go wywoływali na podwórze, stawałam w drzwiach z tym oto tłuczkiem i tasakiem (kobieta demonstruje w tym momencie owe przedmioty, co jest równie swego rodzaju wizją lokalną). Co ja się na nich na mnie krzyczałam. Dębiński to już ostatnio złym okiem na mnie spoglądał. I kto go wie, co mu tam po głowie chodziło”.

— Głupstwa mama gadasz — odpowiada syn. — Dębiński nie miał do ciebie żalu, zazdrościł mi takiej matki. Jego mama się nim wcale nie interesowała, a o tym, gdzie Janek pracuje, dowiedziała się chyba dopiero z gazety. Przestałem się z nim kolegować, wcale nie dlatego, że robiłaś awantury, lecz, po prostu, jego poglądy mi nie odpowiadały. Janek chciał zrobić coś bardzo złego i chyba mu się to udało. Planował też zabić komendanta posterunku, a potem własnego ojca. Dla niego zabić człowieka to nie była żadna sztuka. Ciągłe o tym mówił: trach-trach, tra-ta-ta-ta... Jak mu kot miauczał, to go ukatrupił i zjeść.

młodzieńcy w czerwcu zasiedli na ławie oskarżonych. Feder i Kaczmarek w Sądzie dla Nieletnich, Dębiński w Sądzie Powiatowym dla pow. łódzkiego. Sądy w naszym województwie są bardziej operatywne, niż w Krakowskim. Tutaj rozprawa odbyła się w dwa miesiące po wypadku, w Nowym Targu prokuraturze mało było dwóch lat. W tej sytuacji nie można było zastosować wobec przestępców recydywy. I dlatego w czerwcu br. otrzymali bardzo łagodny wyrok, którego wykonanie zawieszono na dwa lata.

Zbrodnia zwróciła uwagę społeczną na miasto, z którego wywodzą się przestępcy. Łatwo przy takiej okazji demonizować charakter miasteczka. Jest to, po prostu, typowy przyczółek, który zdobywa ludność wiejska, aby stąd przedostać się do Łodzi. W środowisku młodzieżowym stosunki oparte są na przemocy, sile i brutalności. Najpopularniejszą formą rozrywki są bójkki po ciemnych zakamarkach miasteczka. Jeśli z Łodzi przyjeżdżają tu żądni przy-

otrzymały sporo krwiożerczych listów. Ich autorzy wierzą w zbawienną i odstraszającą moc okrucieństwa, postulują darcie pasów, solenie, wieszanie za nogi, pokazywanie w klatce itp. Ileż razy można powtarzać, że kara nie może być odwetem ani zemstą, sprawiedliwość musi się kierować głębszymi motywami i szlachetniejszymi pobudkami. Izolując, czy nawet całkowicie eliminując groźnych przestępców ze społeczeństwa trzeba to czynić w zgodzie z wszelkimi normami prawa. Dopracowaliśmy się w tej dziedzinie pewnej kultury i rezygnacja z tego byłaby krokiem wstecz. Nie wątpię wcale, że Dębiński i Feder zostaną surowo, acz sprawiedliwie ukarani, bo też ich zbrodnie w pełni na to zasługują.

KAROL BADZIAK

Fot. KONRAD TUROWSKI

LIBRIS ODGŁOSÓW

DZIEJE 25 PUŁKU PIECHOTY AK

W szeregu o dokumenty, ustne relacje, artykuły oraz wspomnienia i książki o II wojnie światowej powstała historia 25 pułku piechoty AK Ziemi Piotrkowskiej. Pułk ten uformowany w drugiej połowie lipca 1941 roku, walczył na Ziemi Piotrkowskiej i Opoczyńskiej. Rozwiązano go w listopadzie 1944 roku.

Autorem książki jest Dariusz Golebiowski. W czasie służby w 25 pp AK nosił pseudonim „Kraak”. Książkę o dziejach tego pułku napisał po to, aby jak sam mówi „nie zatarała się pamięć potomnych” i aby odwdziżyć się choć w tak skromny sposób ludziom z piotrkowskiego i opoczyńskiego, którzy w czasie wojny i działań tam 25 pułku AK ponieśli ogromne ofiary i straty.

25 pp AK wraz z 72 pp AK stworzył w lasach przysuskich obszar warowny. Działając wprawdzie o 150 km od krwawej Warszawy, oba pułki mogłyby jednak wpłynąć na toczące się tam walki, wiaćąc w rejonie swego działania większe jednostki wojskowe hitlerowców. Ale tej możliwości silna jednostka AK nie wykorzystano. Po Powstaniu Warszawskim, 25 pp AK walczył samodzielnie jako jedyny większy zbrojny oddział polski na terenach od Warszawy po lasy przysuskie.

Książka Dariusza Golebiowskiego „Burza” nad Czarną” nie jest lekturą łatwą. Nie jest to bowiem zbeletryzowana opowieść o partyzantach, a rzetelny dokument. Autor wprawdzie zastrzega, że posługując się również wspomnieniami i relacjami ustnymi mógł nie ustrzec się pomyłek, dał jednak Czytelnikowi pracę popartą dokumentami, wzbogaconą o zdjęcia niektórych żołnierzy i oficerów oraz mapy i ilustracje. Książka Golebiowskiego niewątpliwie zainteresuje wszystkich, których pasjonuje tematyka II wojny światowej.

Dariusz Golebiowski „Burza” nad Czarną”. Wyd. MON, 1972, cena zł 35.-

178 PIERWSZYCH DNI WOJNY

Wojna niemiecko-radziecka trwała 1418 dni. Marszałek Związku Radzieckiego, Iwan Bagramian, opisał tylko 178 pierwszych dni tej wojny. Był on w tym czasie zastępcą szefa sztabu Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego, który w pierwszych dniach wojny przekształcono w Front Południowo-Zachodni. Przystępując po latach do spisania dzieł wojennych pierwszych 178 dni, Bagramian uznał, że nie można traktować początku wojny Związku Radzieckiego z Niemcami jedynie jako pasma niepowodzeń i klęsk Armii Czerwonej. „W ciągu tych 178 dni Armia Czerwona — pisze Iwan Bagramian — nie tylko ponosiła porażki, lecz także potrafiła bic wroga, ucząc się zwyciężać”. Obrona Kijowa i linii Dniepru była według Bagramiana pierwszą szkołą zwycięstwa dla radzieckich żołnierzy. Dzięki temu Armia Czerwona mogła przejść do pierwszej operacji zaczepnej, zakończonej wyzwoleniem Rostowa nad Donem.

Iwan Bagramian uczestniczył również w przygotowaniu wojennych operacji i dlatego w swojej książce nie ograniczył się tylko do opisu wydarzeń, ale przedstawia też okoliczności narodzin poszczególnych decyzji strategicznych. Dzięki temu daje Czytelnikowi lekturę, która jest nie tylko dokumentem pierwszych dni wojny, ale i rzetelną analizą wszystkich czynników, jakie złożyły się na wojenne dzieje Armii Radzieckiej w pierwszym i w późniejszych okresach II wojny światowej.

Iwan Bagramian „Taki był początek wojny”, Wyd. MON, 1972, cena zł 40.-

PROZAIICY DWUDZIESTOLECIA MIĘDZYWOJENNEGO

Poza monografiami niektórych pisarzy dwudziestolecia międzywojennego, poza artykułami o wybranych zagadnieniach literatury tego okresu, nie mamy wprawdzie do tej pory współczesnych opracowań historyczno-literackich, syntetyzujących epokę, poszczególnych gatunków i rodzaje literackie przedstawiających gruntownie monografie twórców. Na dobrą sprawę ciągle sięgamy jeszcze po trzeci tom „Obrazu literatury polskiej” Kazimierza Czachowskiego, lub odwołujemy się do rozpraw krytyków okresu międzywojennego.

W tej sytuacji z uznaniem należy powitać wydany pod redakcją Bolesława Faraona tom „Prozacy dwudziestolecia międzywojennego” przedstawiający sylwetki wybranych twórców tego okresu. Znajdziemy więc tu obok sylwetek pisarzy debiutujących jeszcze w okresie Młodej Polski — Juliusza Kaden-Bandrowskiego, Andrzeja Siruga, Zofii Nalkowskiej i Marii Dąbrowskiej, szkice poświęcone prozalom, których twórczość nie wyszła poza ramy dwudziestolecia międzywojennego — Bruno Schulza, Zbigniewa Uniłowskiego międzywojennego — Bruno Schulza, a także tym pisarzem, który czy Stanisława Witkiewicza, Tadeusza Brezja czy Bruno Jasieńskiego, jak Teodor Parnicki, zaczynał swoją karierę literacką. Na taki właśnie dobór prezentowanych autorów, a dodajmy — tom zawiera szkice poświęcone dwudziestu pięciu twórcom, wpłynęła niewątpliwie świadomość kontynuacji, ciągłości procesów literackich i zależności pisarzy współczesnych od poprzedników z epoki minionej.

We wstępie — krótkiej syntezie okresu dwudziestolecia — Bolesław Faraon pisze: „Oddajemy książkę do rąk czytelników świadomi, że nie mogliśmy objąć wszystkich autorów zastępujących na omówienie... Prezentujemy jednak nazwiska charakterystyczne dla najistotniejszych zjawisk w prozie międzywojennej zarówno w zakresie ideowym i politycznym, jak i w dziedzinie propozycji warsztatowych.”

I tak otrzymaliśmy wartościową i od dawna potrzebną pracę, przygotowaną również bardzo starannie pod względem edytorskim. E.M.

„Prozacy dwudziestolecia międzywojennego — Sylwetki”, pod redakcją Bolesława Faraona, „Wiedza Powszechna”, W-wa, 1972, str. 770, cena zł 60.-

FESTIWAL NIE SPEŁNIONYCH NADZIEI

EWA NURKOWSKA

Festiwal filmowy mają to do siebie, iż głośno o nich nawet wtedy, gdy na ekranie głucho i pusto w sensie artystycznych dokonań. Publicyści robi swoje, a i gwiazdy też wiele pomóc w tym mogą. Od czasu do czasu zdarzają się jednakowoż festiwale robocze, o których cicho, dziennikarze ich nie lubią, bo też atrakcji nie dostarczają. Zakończony w Łodzi II Festiwal Filmów Dydaktycznych fanfar i gwiazd nie potrzebował, tym razem ważna była publiczność — ci, co filmy te robią i ci, co z nich korzystają. Festiwal konfrontacji faktów istniejących i potrzeb, wzorców dobrych i wzbudzających poważne zastrzeżenia, festiwal dyskusji merytorycznych i postulatywnych.

Główne założenia i cele łódzkiego festiwalu i naukowego sympozjum przedstawiliśmy już w „Odgłosach”, doceniając wagę problemu filmu jako środka nauczania i wychowania. Powracając do tego tematu, pragniemy podjąć próbę choćby ogólnej oceny tego, co aktualnie proponuje się i oddaje do rąk pedagogów wszystkich poziomów nauczania.

Każdy festiwal ma swoje nagrody. Złote, Srebrne i Brązowe Światowidy rozdano również laureatom II Festiwalu Filmów Dydaktycznych. Uchonorowano filmy najlepsze — to oczywiście. Czy jednakże nawet one spełniły wszystkie wymagania stawiane tej szczególnej galei filmowej twórczości, czy po prostu filmowej realizacji?

Do festiwalowego konkursu zakwalifikowano 43 filmy, wyselekcjonowane za 144 nadesłanych. Nie uzurpując sobie żadnego prawa do ocen w pełni merytorycznych, nie- możliwych ze względu na przedmiotową wielokierunkowość i specyfikę dydaktyki

nauczania w poszczególnych poziomach szkolnictwa.

Znamienna jest tu decyzja jury, przesuwnąca film „BUDOWA PIECA STALOWNICZEGO TANDEM” reżysera J. Arkusza z kategorii filmów dla szkół zawodowych do grupy filmów dla wyższych uczelni. Film ten wysoko ocenić można bowiem wówczas, gdy widzi się jego przydatność w akademickim wykładzie na niezwykle istotny temat, jakim jest organizacja pracy. Film jest bowiem swoistym zapisem dokumentacyjnym, rejestrującym budowę pieca stalowniczego w hucie im. Lenina przy nieprzerwanym normalnym ciągu pracy innych pieców. Film ten, mimo ministerialnej jego kwalifikacji, nie zaspokaja uczenia szkoły zawodowej z budowa pieca. Potencjalnemu absolwentowi sztuki inżynierskiej, jako przyszłemu managerowi ukaże jednakże współczesna organizację pracy. Przykład tego filmu ilustruje grzech główny przedmiotową wielokierunkowość i specyfikę dydaktyki nie nacełowanej, wy-

bezpředensowa. Zabrakło natomiast filmu sensu stricte badawczego, dokumentu pracy badawczej czy instrumentalnej.

Nie przyznano też dwu, przewidzianych regulaminem, nagród za zastosowanie filmowych technik specjalnych. Nie warto by może na fakt ten zwracać uwagi, gdyby nie to, iż w tej dziedzinie filmowej realizacji wartość filmu, w o- gromnej ilości przypadków, determinowana jest właśnie zastosowaniem technik specjalnych. Pozostanie przy metodach tradycyjnych, co znaczy dziś — starych, zamyka filmowi drogę dotarcia tam, gdzie dociera nauka, stawia go natomiast na pozycjach przegranych.

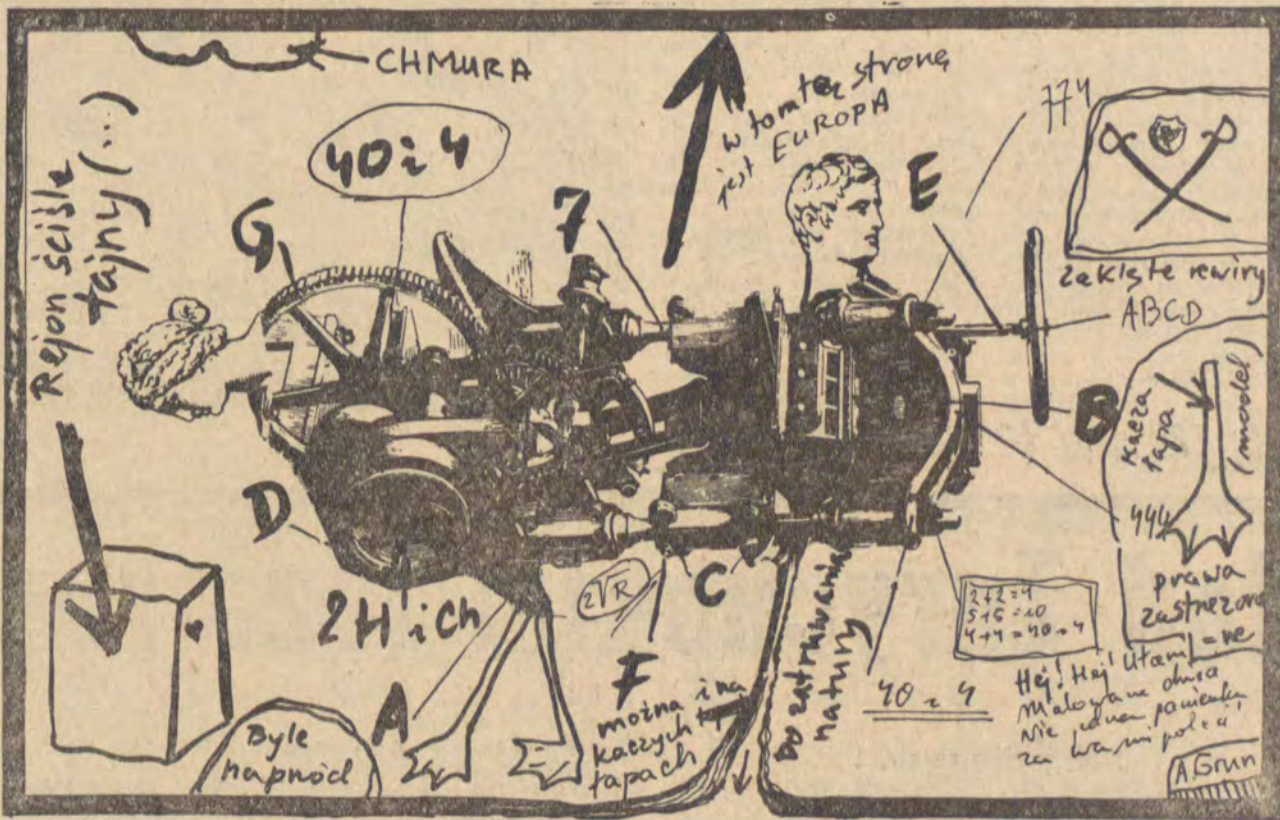
Wrażeniem ogólnym wyniesionym z festiwalu jest to, że przeważała w nim, mimo wszystko, powierzchowna popularyzacja, wszystkoizm, owa dydaktyka nienacelowana. Czulo się, iż udział ludzi nauki i praktyki dydaktycznej w realizacji filmów jest ciągle zbyt mały, chciałoby się ich widzieć nie tylko jako konsultantów, lecz także autorów przemyślanych i perspektywicznych programów realizacji tematów, jako autorów scenariuszy i komentarzy.

Analiza werdyktu jury, roz- dzielającego Światowidy w o- kreślonych kategoriach film- ów, daje też wiele do my- ślenia. W grupie filmów dla wyższych uczelni Złotego i Srebrnego Światowida otrzy- mały filmy medyczne („OD- NERWANIE WSPÓLNE KÓNCZYŃ DOLNYCH” reż. dr S. Karliński i „ZESPAL- NIE ZŁAMANE KOŚCI SRU- BAMI I PLYTKAMI” reż. dr W. Ramotowski) znane z te- go, iż programują je i reali- zują sami lekarze. W kategorii filmów dla szkół zawodowych i technicznych dwie główne

istotnym w procesach kształ- cenia. Srebrny Światowid dla filmu reż. J. Czeza „W TA- TRZANIM PARKU NARU- DOWYM” i Brązowy dla „STANISŁAWA MONIUSZ- KI” reż. J. Salapskiego pot- wierdził zapotrzebowanie na ten rodzaj filmu, w którym dydaktyka może i winna iść w parze z tworzeniem emocjo- nalnego nastroju i estetycznego oddziaływania. Na ten aspekt procesu kształcenia pe- dagogika i psychologia często zwraca uwagę. Uderzał natom- iast brak realizowanych na zasadzie wstawek, krótkich filmów dydaktycznych, tak niezbędnych w naukach ścis- łych, uderzał brak filmów dla wielu przedmiotów szkolnych oraz niezwykle mała ilość fil- mów dla wyższych uczelni.

Spśród filmów popularyzy- zujących wiedzę, najwyższą na- grodę przyznano nestorowi polskiego filmu oświatowego reżyserowi Karolowi Marcz- kowi za film „KOMORKI ŚWIATA ROŚLIN”, który u- znać można za wzór pięknego, popularnego wykładu. Film Marczaka można by zresztą z powodzeniem, zmieniając na przykład komentarz, wyko- rzystać w wykładach przed- miotowych tak w szkole jak i w wyższej uczelni.

Kończąc tę krótką, nie o- biejmującą wszystkich na- grodzonych filmów, relację, należałoby zwrócić uwagę na jeszcze jeden fakt. Większość nagrodzonych filmów powsta- ła w łódzkiej WFO, choć w festiwalu uczestniczyły filmy zrealizowane i w innych pro- fesjonalnych wytwórniach. Doswiadczenie i baza WFO gwarantują chyba zatem odpo- wiedni poziom tych filmów, warunkiem jest jednak bliższy kontakt tej wytwórni z ludź- mi nauki i dydaktyki. Odnosi się to w równej mierze i do innych wytwórni. Niedostatek



prezentowanych filmów, za- strzegam, iż przedstawione tu uwagi są wynikiem sondażu opinii specjalistów uczestniczących w omawianej impre- zie. Opinie te, niestety, nie są zbyt optymistyczne.

Potwierdziły się podejrze- nia, iż nasz film dydaktyczny i popularyzujący wiedzę przeżywa okres stagnacji. Jeśli chcemy zastosować wobec prezentowanych na festiwalu kryterium zasadni- cze, a więc ich przydatność dydaktycznej, to stwierdzić trzeba, iż filmów sensu stricte dydaktycznych było w isto- cie niewiele. Większość z nich posiadają nawet szeroko rozumianą funkcjonalność, nie była adekwatna wobec obowiązujących programów

nikający bądź ze złej kwalifi- kacji filmu, bądź posiadają- cy swe źródła już na etapie programowania.

Nagrodę specjalną PAN dla filmu badawczego otrzymał film „REKULTYWACJA PIASKÓW” reż. W. Powady. Pokazano i wytłumaczono w nim istotę i znaczenie pol- skiej metody rekultywacji, gruntów piaszczystych w wa- runkach eksperymentalnych. Metoda ta opracowana zosta- ła przez zespół naukowy z krakowskiej AGH. „Rekulty- wacja piasków” posiada kwa- lifikację filmu popularyzują- cego wiedzy, jego wysoki po- ziom pozwolił jurorom festi- walu dać mu nagrodę — za film badawczy. Jest to jed- nak swego rodzaju sytuacja

nagrody zdobyły filmy zreali- zowane na zlecenie Minister- stwa Rolnictwa („PLUGU- FREZARKA” reż. J. Arkusz i „GRZYBICE SKÓRNE BYD- LA” reż. W. Powada). W po- danych przykładach dobra realizacja idzie bez wątpienia w parze z pełną świadomością celu.

W kategorii filmów dla szkół ogólnokształcących nagro- dy przyznano filmom z za- kresu wiedzy humanistycznej — Złoty Światowid przypadł „NOCY LISTOPADOWEJ” reż. W. Drymera, znakomitej, niezwykle wizualnie bogatej, relacji o sytuacji politycznej przed powstaniem listopado- wym oraz wydarzeniach samej Nocy; film o wysokich walo- rach poznawczych i głębokim tonie emocjonalnym, jak

filmów powstałych w instytu- tach naukowych i wyższych uczelniach mają swe inne źródła, pisaliśmy o nich w po- przednim artykule. Powtarza- jące się na liście laureatów nazwiska reżyserów: Józefa Arkusza, Wiesława Drymera, Aleksandry Jaskólskiej, Wi- tołda Powady każą pamiętać o kadry ludzi, ze znakomitym przygotowaniem i talentem, kadry, której trzeba stworzyć warunki pracy nie tylko u- łatwiającej właściwe działanie, ale i rekompensujące trud weń włożony. Trzeba też my- śleć o kształceniu realizato- rów, którzy wszystkoistną popularyzację potrafią zmie- nić w popularyzację powożes- ną, którzy zajmą się filmem dydaktycznym w ścisłym tego słowa znaczeniu.

SZANSA MŁODYCH

Dalszy ciąg ze str. 1

Od 1968 roku był najpierw mistrzem w drukarni filmowej, a od 1971 — mistrzem na oddziale bielnika. Myśli o studiach wyższych na Politechnice Łódzkiej.

EWA MILCZAREK — pracownica oddziału pomocniczego przedalnia, absolwentka zasadniczej szkoły przykładowej ZPB im. J. Marchlewskiego, aktualnie uczennica Technikum Włókienniczego. Początkowo pracowała w przedalniu, a obecnie w oddziale przygotowawczym. Po ukończeniu Tech. Włókienniczego myśli o studiach politechnicznych.

ELŻBIETA STRASZAK — starszy referent w biurze przedalnia, absolwentka przykładowej szkoły zawodowej. Pracowała przez jakiś czas jako prządka i uczyła się w wieczorowym Technikum Włókienniczym. Obecnie pracuje w biurze przedalnia. Od stycznia 1973 roku chce iść na kurs przygotowawczy i w czasie wakacji zdawać na studia wieczorowe. Myśli o Wydziale Włókienniczym Politechniki Łódzkiej.

Tych pięćdziesiąt z ZPB im. J. Marchlewskiego wyraźnie wiąże swoje szanse z podnoszeniem kwalifikacji, z dalszą nauką, słusznie rozumując, że to, co osiągnęli nie zagwarantuje im właściwego miejsca w szybko postępującym współczesnym życiu.

Poprosiliśmy ich, aby na swoją osobistą szansę spojrzeli również i z innego punktu widzenia, aby spróbowali powiązać ją z przyszłością fabryki i jej załogi. Oto ich wypowiedzi.

EWA STRASZAK:
Trzeba mieć ambicje.

— Uczyć się i pracować nie jest łatwo, ale dla wielu młodych jest to jedyne wyjście. Niektórzy mają przecież takie warunki materialne i rodzinne, że nie mogą uczyć się nie pracując i nie zarabiac. Czy to jednak stanowi przeszkodę w ich życiu? Moim zdaniem — nie, chociaż nie wszystkie koleżanki i nie wszyscy koledzy, z którymi zaczynałam pracę i naukę w ZPB im. J. Marchlewskiego zdecydowali się na dalszą naukę. Jedni uznali, że to, co osiągnęli już ich całkowicie zadawała. Inni — że nie podążają dalszym trudem, jakże niesie z sobą łączenie pracy i nauki. Jeszcze inni — przerazili się kłopotów,

jakie trzeba pokonać, chcąc jednocześnie pracować i dalej uczyć się. Te kłopoty, to przeszkody, które rodzą się w chwili, kiedy pracownik decyduje się dalej pogłębiać swoją wiedzę. Dla oddziału jest to dodatkowa trudność, bo trzeba tak zorganizować pracę, aby uczący się mogli przychodzić tylko na ranną zmianę. Jeśli więc uda się zniechęcić amatora nauki, to tym lepiej. Nie mogę jednak powiedzieć, że takiej przeszkody nie można przezwyciężyć. Mnie się to udało i udaje się innym.

Bywa jednak i tak, że młoda dziewczyna, czy młody chłopiec zakładają rodzinę, choć jeszcze nie zakończyli całkowicie swojej nauki. Wtedy te kłopoty i trudności znacznie się zwiększają i dla niektórych, mniej wytrwałych stają się przeszkodami nie do przebycia. A szkoda, bo wielu z nas rozumie, że bez dalszej nauki dużo w przyszłym życiu nie będzie można osiągnąć. Tylko, że oni widzą cel doraźny, o przyszłości wolą nie myśleć.

Rozmawiam czasem z moimi koleżankami. Pytam je, dlaczego rezygnują z nauki. Okazuje się, że bardziej urządzają je teraz dobre zarobki, niż jeszcze kilka lat kłopotów i trudnego życia. Tylko, co będzie później — pytam. Wydaje mi się, że nie uświadamiają sobie przemian, jakie przechodzi nasz kraj, nasz przemysł, a w tym i nasza fabryka. Trzeba więc mieć ambicję dorównywania tym przemianom, bo później może się okazać, że człowiek pozostał w tyle.

MACIEJ FORNAŁSKI: Nauka i praca — metoda czy przypadek?

— Wielu z nas uczy się i pracuje jednocześnie. Można się zastanowić, czy jest to prawidłowość, a więc świadomy wybór takiej a nie innej metody podnoszenia kwalifikacji? Można też zastanawiać się, czy jest to przypadek? Po prostu komuś tak a nie inaczej ułożyły się warunki i musiał wybrać taką właśnie drogę zdobywania wiedzy.

Niektórzy moi koledzy utrzymują, że uczyć się należałoby tylko w szkole dziennej, bo to daje większe możliwości zdobycia wiedzy. Ja jestem trochę odmiennego zdania. Mnie wydaje się, że łączenie nauki z pracą, choć trudne i czasem kłopotliwe, daje jed-

nak więcej. Z jednej strony zarabiam, a więc nie jestem dodatkowym ciężarem dla rodziny, jeszcze jej pomagam. To pozwala mi na usamodzielnienie się w życiu, uczy mnie odpowiedzialności. Poza tym pracując, zdobywam wiele praktycznych doświadczeń, których nie miałbym, gdybym chodził do szkoły dziennej. Takie są — moim zdaniem — plusy łączenia nauki z pracą.

Ktoś może jednak powiedzieć, że najczęściej młodzi naukę i pracę łączą nie ze świadomego wyboru a z przypadku. To prawda, ale ja uważam, że tak zorganizowany system oświaty daje każdemu możliwość — niezależnie od wieku — stalego podnoszenia swoich kwalifikacji. Bywa przecież i tak, że młodzi chcąc szybko stać się dorosłymi, rzucają naukę i idą do pracy. Wkrótce jednak przekonują się, że posiadana przez nich wiedza nie na wiele przydaje się. I to dla mnie jest ważne, bo zawsze mają możliwość dalszej nauki. Tylko, że gdyby to wyłącznie

ode mnie zależało, to nie czekałbym na ich decyzję. Pomógłbym im w jej podjęciu. A zrobić to powinna organizacja młodzieżowa. Im zrobią to wcześniej, tym będzie lepiej i dla nich i dla społeczeństwa. Przykładów na to można znaleźć wiele, choćby w naszej fabryce. Wymiana maszyn powoduje, że nawet dorośli i starsi wiekiem ludzie, jeśli chcą je obsługiwać — muszą się uczyć. Młodym nie wolno czekać, aż zmusi ich do tego życie.

EWA MILCZAREK:
Technika dla ludzi.

— Koleżanki pytają mnie czasem: — Ewa, po co ci to? Stale nie masz czasu, wieczory spędzasz nad książką albo w szkole. Ale ja myślę inaczej. Czasami zastanawiam się nad tym, co bym zmieniła w swoim oddziale, gdybym już była inżynierem? Może to wydać się śmieszne, takie przymeranie się do marzeń,

ale przecież nie wolno gościć się tylko na to, co już zastaliśmy, co zrobili przed nami starsi. I wtedy bardzo krytycznie patrzę na swój oddział.

Obecnie np. gumę na sworznie naciąga się ręcznie. W ciągu jednej zmiany trzeba naciągnąć około tysiąca wałków. A to wymaga siły. Czy nie można tej czynności zmechanizować? Zastosować silnik elektryczny, który pomógłby człowiekowi w jego nietatwej pracy? Albo inna czynność. Ręczne krojenie skóry. To też można byłoby zmechanizować.

Co roku fabryce przybywa maszyn, nam remontów. Zjawisko, moim zdaniem, normalne, ale wymagające od nas większego wysiłku. W tym wysiłku człowiekowi powinna pomagać technika. Wiele czynności można zmechanizować bez kupowania nowych maszyn. Niektórzy młodzi robotnicy myślą i oceniają te zjawiska w podobny co ja sposób. Zgłaszają oni nawet pomysły racjonalizatorskie. Ale czę-

sto pomysły te są odrzucone. Dlaczego? Czy dlatego, że fabryce nie zależy na usprawnieniach? Nie, po prostu dlatego, że są to pomysły niedopracowane, a więc niemożliwe jeszcze do zastosowania.

Stąd prosty wniosek. Jeśli chcemy skorzystać z szansy, jaką daje nam obecność przy nowocześniejszym naszego życia, to musimy uczyć się, podnosić nasze kwalifikacje, wiedzieć i umieć tyle, aby to co robimy było zawsze dobre i na wysokim poziomie. Inaczej nasza szansa pozostanie tylko szansą.

STANISŁAW KACZMAREK: Na awans trzeba zasłużyć.

— W uchwale VI Zjazdu PZPR mówi się o tym, aby młodych wysuwać na odpowiedzialne stanowiska, aby dawać im możliwość wykazywania swojej inicjatywy. To zalecenie jest jednak czasem źle rozumiane. Niektórzy sądzą, że już sam



Fot. A. Wach

Nad Zurychskim Jezioroem

Dalszy ciąg ze str. 1

z odgalezieniami przez St. Gothard i St. Bernardino. Do Zurychu dojeżdżam więc szerokim pasmem nowoczesności, wpadając w sam środek miasta. Zurych, jak zwykle, tętni dyskretnym życiem. Tylko w tajemniczym, gdzieś w salonach miejscowych notabli, czy hotelach, w których rezyduje stale blisko 1000 cudzoziemskich milionerów, czego nie uniknęliby w swoich ojezdzystych krajach. Szwajcaria od lat zresztą jest azylem dla wszystkich, którzy pragną spokoju, pod jednym warunkiem oczywiście, że „kiesie” posiadają odpowiednio zaopatrzoną.

Odległe to czasy, gdy na szwajcarskiej ziemi znajdowali przytułek i opiekę emigranci polityczni, głównie ze Wschodniej Europy. Wśród tych ostatnich prym wiodli Polacy, którzy od 200 prawie lat szukali w wielu zakątkach świata politycznego azylu. Szwajcaria wielokrotnie przeżyła napływ polskiej emigracji. Szczególnie zaś silnie w historii tego państwa utkwiły dwa takie napływy: pierwszy — po powstaniu styczniowym, drugi — po upadku Francji w II wojnie światowej, gdy walczące do końca polskie oddziały znalazły schronienie na szwajcarskiej ziemi. Od tych czasów wiąże Polskę i Szwajcarię dyskretnie, ale rzeczowe więzy przyjaźni, której ślady do dzisiaj na tej ziemi oglądać można. Materiałnym dowodem naszych historycznych związków ze Szwajcarią jest

zamek w Rapperswilu, swoisty pomnik tradycji i przeszłości, miłości ojczyzny poświęcony.

Jest to zamek jedyny w swoim rodzaju. Zamek, który odegrał nieposłednią rolę w sęchylku zesłego i początkach obecnego stulecia. Jest to zjawisko o niezwykłym znaczeniu moralnym. W odróżnieniu od wielu innych zamków średniowiecznych nie pogrążył się po okresie świetności w stan historycznego letargu, lecz ożył ideami, które pozwoliły mu załusnąć światłem niezwykłym na przeciąg prawie stu lat. Nowego ducha tętnął w chylący się ku ruinie zamek hrabia Władysław Broel-Plater, osiadły od 1831 roku w Szwajcarii — polski emigrant polityczny z powstania listopadowego, później, w okresie powstania styczniowego, reprezentant Rządu Narodowego na Szwajcarii. Groźny upadkiem gmach wydzierżawił w 1868 roku na przeciąg 99 lat i własnym kosztem kazał odrestaurować.

Od 1870 roku zamek w Rapperswilu stał się polskim muzeum, strażnikiem skarbów kultury polskiej, zagrożonych zagładą w okupowanym przez wrogów kraju. Na wolnej ziemi szwajcarskiej zamek stał się ośrodkiem niezależnej Polski w epoce porzoborowej, a zarazem symbolem idei wolnościowej i przyjaźni polsko-szwajcarskiej.

Do Narodowego Muzeum Polskiego w Rapperswilu zaczęły zewsząd napływać liczne dzieła sztuki, obrazy, szyby, pamiętki, papiery rodzinne, pochodzące z rozproszonych kolekcji prywatnych i archiwów rodowych. Gromadzono rękopisy, dokumenty, akta i korespondencje polityków, uczonych, powieściopisarzy i poetów. Powstały tu kolekcje autografów Adama Mickiewicza, Tadeusza Kościuszki. Serce Tadeusza Kościuszki przechowywano w kaplicy zamkowej, skąd w 1927 roku, pod honorową eskortą dwóch szwajcarskich oficerów, przewieziono do Polski i złożono w kaplicy zamkowej w Warszawie.

Zbiory muzeum stały się podwalnią biblioteki, która była jednym z ważniejszych ośrodków studiów nad dziejami Polski XIX wieku. Powstał więc tu poważny warsztat naukowy, kuźnia pracy wielu uczonych oraz żywy ośrodek polskiej myśli politycznej, oddziaływający skutecznie na kraj. Piękna, patriotyczna inicjatywa hr. Władysława Broel-Platera zapoczątkowała nowy rozdział w historii rapperswilskiego zamku. Malownicze miasteczko turystyczne, położone na południowym brzegu Zurychskiego Jeziora stało się, wraz ze swym zamkiem, symbolem Polski, symbolem świadomości narodowej innego, przyszłego państwa.

2.

Do Rapperswilu wyruszam wczesnie. Nad Zurychskim Jezioroem snują się jeszcze poranne mgły. Droga wiję się wśród podmiejskich osiedli i winnic. Wspaniały widok na przeciwny brzeg jeziora. Czas upływa szybko, bo i odległość od Zurychu jest niewielka.

Na kilka kilometrów przed Rapperswillem z wody i mgieł wylania się na daleko wysuniętym półwyspie prosta, średniowieczna budowla. Mijam ciasno zabudowane miasteczko ze starymi kamieniczkami, lśniącymi ornamentyką i czystością. Wspinam się po „hiszpańskich” schodach, by wreszcie dostać się na zamkowe wzgórze.

Przed wielką drewnianą bramą wita mnie siedzący na wysokiej, smukłej kolumnie, orzeł, z rozpostartymi skrzydłami. Niemiecki tekst, umieszczony u stóp kolumny, na niewielkiej wypuszczonej w chodnik płycie, wyjaśnia znaczenie pomnika: „Polska Kolumna Wolności od 1868 roku głosi o naszym związku ze wszystkimi walecznymi i wolności narodami”.

Tuż pod tekstem wtopiona brunatna cegła. To relikwia z Polski. Cegła ze zniszczonego podczas II wojny Zamu Królewskiego w Warszawie. Pod nią grudka ziemi z kraju. Na białej, marmurowej tablicy, na froncie cokołu pomnika — płaskorzeźba, przedstawiająca Orła Polskiego i Litewską Pogoń. Herby Polski i Litwy, umieszczone naprzemiennie w czterech polach i łączone koroną — symbol Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Rozumiem teraz, czym jest orzeł na szczycie kolumny — to godło Polski, nadające swoiste piękno zamkowemu wzgórze.

młody wiek upoważnia do tego, aby awansować. A ja uważam, że do tego potrzeba odpowiednich kwalifikacji i wyników, osiągniętych w pracy. Ja np. zostałem mistrzem mając 22 lata, co tak często się nie zdarzało.

Obecnie wiele się zmieniło w sprawach awansu młodych. U „Marchlewskiego” coraz częściej awansują młodzi ludzie, którzy mogą wylegitimować się dyplomem technikum lub wyższej uczelni, którzy dyplom ten potwierdzają wysoką wiedzą i umiejętnością jej stosowania i którzy osiągnęli dobre wyniki w swojej codziennej pracy. Np. na oddziale bielnika — gdzie teraz pracuję — cała kierownicza kadra, to ludzie, którzy nie ukończyli jeszcze 30 lat.

Osobiście też chciałbym dalej awansować, ale zdaję sobie w pełni sprawę, że przy obecnych posiadanych kwalifikacjach jest to niemożliwe. Dlatego poważnie myślę o studiach politechnicznych. Studiowałbym nie przerywając pracy, a więc powiększałbym nie tylko wiedzę, ale również i doświadczenia. To na pewno pozwoliłoby mi w przyszłości awansować. Mam taką szansę i muszę z niej skorzystać.

STANISŁAW CHŁAPIŃSKI: Jakość nie ilość.

— Uważnie obserwując działalność naszej fabryki dochodzę do wniosku, że już dawno skończyliśmy z troską o ilość, a zaczęliśmy się troszczyć o jakość. Ten fakt do czegoś zobowiązuje całą załogę. Robić dużo i byle jak można i na starych maszynach, i starymi technologiami, i przy niskich kwalifikacjach załogi. Robić dobrze, coraz bardziej podnosić jakość produkcji można tylko przy modernizowanym parku maszynowym, przy wprowadzaniu nowych technologii i przy podnoszeniu kwalifikacji. A w niektórych oddziałach tego jeszcze brakuje. Nie ma też świadomości, że nie wystarczą dobre maszyny, nowoczesne technologie i najlepsza organizacja, jeśli ludzie nie będą doskonaliłi swoich umiejętności, jeśli nie potrafią należycie posługiwać się tym wszystkim, co im do dyspozycji oddaje zakład.

I wydaje mi się, że szansą młodych jest szybkie zdobycie tej świadomości i spożytkowanie jej nie tylko na własne, ale społeczne potrzeby. Bo korzyść będzie i dla nas i dla innych.

**Notował:
LUCJUSZ
WŁODKOWSKI**

Wizyta u nas

Ostatnimi czasy obserwujemy znaczne ożywienie kontaktów między pisarzami łódzkimi a przedstawicielami literatury narodów Związku Radzieckiego. Nie tak dawno gościliśmy w „Odgłosach” białoruskiego poetę Maksima Tanka oraz ceniowego tłumacza literatury polskiej na rosyjski Wiktora Borysowa, obecnie zaś przychodzi nam odnotować jeszcze jedną przyjacielską wizytę pisarzy radzieckich w naszym mieście. Oto łódzkie środowisko pisarskie podejmowało w Związku Literatów Polskich tatarskiego poetę i prozaika Zaki Nuri, oraz redaktora naczelnego miesięcznika moskiewskiego „Nasz Współczesny” Sergieja Wikulowa.

Zaki Nuri, przewodniczący Związku Pisarzy Tatarskich a zarazem sekretarz Zarządu Głównego Związku Pisa-

rzy Radzieckich należy do tego pokolenia twórców, których wyobraźnię i uświadomienie ukształtowała ostatnia wojna. Rękopis swojego pierwszego zbiorku wierszy przesłał do rodzinnego Kazania przez linię frontu z partyzanckiego oddziału na Białorusi. Od tamtej pory wydał ponad dwadzieścia książek w języku tatarskim jak też w przekładzie na rosyjski. Tylko w ostatnich czasach ukazały się w przekładzie rosyjskim następujące jego książki: „Żyjemy nad Wołgą”, „Pamięć serca”, „Zawrzemy znajomość”, „Topolowy brzeg”, „Radość spotkań”, „Wylamany zamek”, „Rozmowa z przebrnięciem”, „Uśmiech”, „Kwiaty u nas kwiaty”.

Zaki Nuri powiada: — Jestem w Polsce po raz drugi, bo odwiedziłem już nasz kraj w roku 1969, w

setną rocznicę urodzin Włodzimierza Lenina. A dla pisarzy kazanskich temat leninowski to bez mała temat osobisty. Przecież przywódcą rewolucji rosyjskiej właśnie w Kazaniu uczęszczał do gimnazjum. Nic też dziwnego, że wspólnymi siłami literatów tatarskich napisaliśmy książkę „Lenin po opuszczeniu Kazania”. W związku z tym przedsięwzięciem jeździłem do Samary, Kujbyszewa, Ufy, Pskowa i Leningradu, a także do wsi Szuszenskoje, gdzie Lenin przebywał na zesłaniu. Odwiedziłem także Polskę, byłem wtedy w Warszawie, Krakowie, Zakopanem i oczywiście w Poroninie. Z Polski przywiózłem duży reportaż zatytułowany „Kwiaty dla Lenina”, drukowany w prasie, a obecnie przygotowany do wydania książkowego. Dlatego też Polska jest mi znana, nawet Łódź wydaje mi się bliska, chociaż jestem tu po raz pierwszy. Rzuciło mi się od razu w oczy, że nasze miasto jest czyste, sporo w nim zieleni, a nawet kwiatów. Rad jestem także, że mogłem wymienić poglądy z łódzkimi pisarzami, bo choć od dawna znam Jerzego Putramenta i Wiktora Woroszyłskiego, a także innych literatów polskich, myślę, że dobrze poznać ośrodki pozawarszawskie. To zresztą jeden

z celów naszej wizyty u was, gdyż postanowiliśmy w Zarządzie Głównym Pisarzy Radzieckich nawiązać bezpośrednie kontakty z oddziałami terenowymi ZLP.

Wywozę stąd dobre wrażenia, a utwierdza mnie w tym odczuciu jeszcze nasz stary tatarski obyczaj, który każe w czasie podróży pilnie przyglądać się niebu i wypatrywać na nim słońca. Wprawdzie jesień jest dżdżysta, ale nasz tatarski obyczaj każe nam wprost z nieba przenieść spojrzenie na twarz gospodarzy. A ponieważ widzę na nich słońce, które swoim promykiem sięga serc, więc myślę, że ta podróż była owocna.

Siergiej Wikulow także należy do wojennego pokolenia pisarzy. Brał udział w walkach pod Moskwą i Stalingradem, walczył również w Rumunii, Bułgarii, na Węgrzech, w Jugosławii i Austrii. Pełniąc funkcję redaktora naczelnego ukazującego się w nakładzie 100 tys. miesięcznika „Nasz Współczesny” działa czynnie we władzach Zarządu Głównego Związku Pisarzy Radzieckich i Związku Pisarzy Republiki Rosyjskiej. Podobnie jak Zaki Nuri, jest także poetą, autorem siedmiu poematów o wsi oraz o wojnie. Wydał m. in. tomy wierszy: „Chleb i sól”, „Będzie słoneczna pogoda”, „Wioski śniące listo-

wie”, „Czeremcha przy oknie”, „Plug i bruzda”.

Siergiej Wikulow mówi: — Chcielibyśmy częściej niż do tej pory drukować na łamach naszego miesięcznika utwory pisarzy polskich. A do tego potrzebne są osobiste kontakty. Wprawdzie jestem po raz pierwszy w naszym kraju, ale czuję się wśród was tak dobrze, jak bym tu przebywał wiele razy. Znam historię naszych narodów, wiem, że w przeszłości powstawały pomiędzy nami spory, ale możecie mi wierzyć, że nasza partia i państwo wychowuje obywateli w głębokim szacunku do wszystkich narodów. Po wizycie u was utwierdziłem się jeszcze w szacunku do narodu polskiego. Jestem internacjonalistą, ale uważam, że to, co jest międzynarodowe, jest zarazem głęboko narodowe. I szczerze uradowałem się, że Polacy tak wysoko cenią swoje narodowe tradycje. Naród, który ma wielką przeszłość, ma też przed sobą wielką przyszłość. My, pisarze, możemy wiele uczynić nie tylko dla kultury swoich krajów, ale także dla zbliżenia naszych narodów.

JERZY DARNAL

KSIAŻKA

PRZEWODNIK po współczesnym społeczeństwie

Zakres dzisiejszej pedagogiki wymaga zaznajomienia możliwie szerokiej rzeszy społecznych z jej założeniami, stąd też książka prof. A. Kamińskiego, kierownika Zakładu Pedagogiki Społecznej Uniwersytetu Łódzkiego powinna trafić nie tylko do rąk studentów, specjalizujących się w tej dyscyplinie, lecz również do rodziców, nauczycieli, pracowników kulturalno - oświatowych oraz wszystkich tych, którym podlega mniejszy czy większy zespół ludzi.

Książka ta stanowi najobszerniejsze opracowanie z dotychczasowych wydawnictw w języku polskim. Idąc za biegiem myśli autora, można by pedagogikę społeczną określić, jako pedagogikę środowiskowo - opiekuńczą, któ-

rej zadaniem jest z jednej strony właściwe organizowanie środowiska, jako podstawowego sprawy trudności i sukcesów wychowania, odkrywanie w nim prawidłowości wychowawczych i wykorzystywanie ich w praktyce.

Następne zadanie — to wychowawcza opieka wobec jednostek tego potrzebujących, wobec grup i warstw społecznych oraz profilaktyczna pomoc w ich rozwoju. W ten sposób pedagogika społeczna wchłania w siebie zasady teorii wychowania, socjologii, psychologii społecznej, filozofii i polityki. Jest niejako syntezą tych nauk, a wszystkie one posiadają charakter społeczny. I właśnie dlatego książka prof. A. Kamińskiego może służyć w dużej mierze jako doskonały

przewodnik w działalności przeobrażającej wszystkie kręgi społeczeństwa polskiego, będąc pomocną również działaczom społecznym.

Obok podstawowych zadań pedagogiki społecznej, czytelnik znajdzie też w książce prof. A. Kamińskiego określenie i analizę takich terminów, jak „wychowanie”, „środowisko”, „potrzeby ludzkie — indywidualne i społeczne”, „kultura”, „wzory i wzorce”, „kompensacja społeczna”, „opieka, pomoc, wspierająca rozwój”, „opieka społeczna, służba społeczna, praca społeczna”. Poznanie znaczenia i interpretacji tych pojęć pozwoli na poznanie i zrozumienie podstawowych zjawisk społecznych.

Po wstępnych rozważaniach, wprowadzających czytelnika w teoretyczne zasady pedagogiki społecznej, prof. A. Kamiński wprowadza czytelnika w podstawowe środowiska, w których można i należy rozwijać procesy społeczno - wychowawcze. Jako fundamentalną komórkę społeczną w tym względzie, autor wziął pod uwagę środowisko rodzinne, w którym mocne więzi emocjonalne, formujące postawy moralne dzieci, mogą stać się ważną podporą wysiłków publicznych instytucji wychowawczych, względnie w wypadkach negatywnych, niweczyć ich skuteczność. Drugim kręgiem środowiskowym opisanym w książce, to środowisko szkolne. Szkoda tylko, że autor pominał środowisko przedszkolne, które w obecnych warunkach pracy obojga rodziców, posiada do-

niosłą rolę wychowawczą. Autor słusznie podkreśla rolę współczesnej szkoły, jako instytucji wychowawczej i opiekuńczej, szkoły środowiskowo - osiedlowej, by przejść do jej nadmiernej wielofunkcyjności, feminizacji zawodu nauczycielskiego i niezbyt zadowalających wyników nauczania, jako zjawisk ujemnych w tej dziedzinie.

Autor analizuje też środowisko miejskie i zastanawia się nad jego wpływami na przeobrażenie umysłowe mieszkańców miast, począwszy od małych dzieci, do osób w wieku emerytalnym. Nie pomija problematyki wychowawczej zakładów pracy, stowarzyszeń społecznych, klubów, świetlic wiejskich, klubów-kawiarni, ośrodków socjalnych, domów społecznych, domów kultury, uniwersytetów ludowych i powszechnych, kolonii, obozów, domów wczasowych, parków i ogrodów.

Przedstawienie tak dużego wachlarza środowisk, które powinny uprawiać pedagogikę społeczną, nie pozwoliło jednak na gruntowne opracowanie każdego z wymienionych społecznych kręgów. Niemniej książka prof. A. Kamińskiego powinna stać się pomocną każdemu działaczowi społecznemu.

Każda praca badawcza musi posługiwać się swoistymi metodami. Autor wymienia trzy sposoby badań. Pierwszy to — wykorzystanie przez badacza wiedzy życiowej i nauki o człowieku i środowisku, a także umiejętności obcowania z ludźmi. Dzięki temu można zachęcić jednostkę do tego,

aby w miarę swoich możliwości, mogła wziąć własne sprawy w swoje ręce, co przy równoczesnym zorganizowaniu pomocy społecznej, powinno doprowadzić do przystosowania jednostki i środowiska.

Drugi — to metoda pracy grupowej. Jej główne zadanie polega na wykorzystaniu pracy kulturalno - oświatowej wśród dorosłych i młodzieży dla ich rozwoju fizycznego, psychicznego i kulturalnego. Przewiduje ona zabiegi ratownicze i opiekuńcze w stosunku do osób nieprzystosowanych społecznie, w tym również dzieci i młodzieży.

Trzecia — to metoda organizowania społeczności lokalnej dla zadań socjalnych, polegająca na zespalaniu wysiłków różnorodnych instytucji danej społeczności lokalnej w celu ulepszenia ich działalności oświatowo - kulturalnej dla dobra należących do nich członków.

Praca prof. A. Kamińskiego posiada szczególnie duże znaczenie w dobie obecnego tempa rozwoju przemian technicznych, za którymi nie nadążają w pełni przemiany społeczne.

Aleksander Kamiński „Funkcja pedagogiki społecznej”, PWN Warszawa, 1972, str. 348.

JAN BOHUCKI

Na drugiej stronie pomnika czytamy wryte w granicie słowa:

„Niespożyty duch polski stuletnią krwawą walką protestujący przeciwko ciemnącej go przemocy z wolnej ziemi Helwetów przemawia do sprawiedliwości, Boga i świata”.

Ten patetyczny apel zdumiewa i polega ciekawienie. Słowa wryte na kolumnie polskiej w Rapperswilu wyszły spod pióra Kornela Ujejskiego, jednego z czołowych poetów polskich schyłku XIX wieku. Nowy akcent kolumnie nadają wryte na następnej płycie słowa: „Magna Rws Libertas”.

3.

W roku 1927, w myśl testamentu hr. Władysława Broel-Platera, bogate zbiory muzealne, jako własność narodu polskiego, zostały przekazane do Polski. Ale zamek nie opustoszał. Orzeł nadal patrolował placówkę, która, choć w bardzo już skromnej sali, była kontynuacją idei hr. Broel-Platera — szerzenia wśród obcych wiedzy o Polsce. Po II wojnie światowej nowo powstałe Muzeum Polski Współczesnej dotrwało do 1951 roku, kiedy to Szwajcarzy wypowiedzieli PRL umowę o dzierżawę zamku i przekazali go w ręce Międzynarodowego Instytutu Badania Zamków. Z dziedzińca zamkowego usunięto polską kolumnę.

Z inicjatywy dr Juliana Godlewskiego i przy jego wydatnej pomocy finansowej opracowano projekt restauracji kolumny i przeniesienia jej na centralne miejsce przed zamkiem. W dwusetną pierwszą rocznicę zawiązania konfederacji barskiej (1969) powrócił orzeł wraz z kolumną w piękniejszej już, funkcjonalnie zaprojektowanej otoczeniu, na reprezentacyjne miejsce przed zamkową bramą.

4.

Pomny wielkich tradycji zamku, ze wzruszeniem przekraczam jego bramy z nadzieją, że wśród polonistów, w letni

czas, zadumam się nad historią narodu, który nie jedno przetrwać musiał. Po uiszczeniu muzealnej opłaty, gołycko sklepionymi krągankami dochodzę do małego wejścia, przed którym napis brzmi: „Muzeum Polskie”. Wchodzę do małej sali, w której gołyckie kolumny zastąpiono drewnianymi słupami.

Na frontowej ścianie napis: „Wystawa poświęcona powstaniu 1863 roku”. Kilka gablot na niewielkiej powierzchni, obrazów z prywatnych kolekcji, plansz, zdjęć, w skromny sposób przekazujących wiedzę o 1863 roku, o powstaniu styczniowym, o zmaganiach „białych” i „czerwonych”, o historii narodu. Książki, dokumenty, ulotki. Trochę to wszystko bez jakiegokolwiek myśli przewodniej, pomieszanę, wyrywkowo. Robi wrażenie, jakby w gabloty włożono cały muzealny „majątek”.

Oszolomiony kontrastem między historią zamku a materialnymi pamiątkami tam się znajdującymi, skierowany zostaje przez kustosza muzeum do jeszcze jednej sali na pięterku, poświęconej II wojnie światowej — internowanym w Szwajcarii żołnierzom Wojska Polskiego. Nieduża ekspozycja zawiera trochę starych obozowych gazet, zaproszeń na imprezy kulturalne, rozkazów i pamiątek osobistych żołnierzy, którzy w liczbie kilku tysięcy przebywali na terenie Szwajcarii podczas II wojny światowej. Mała to w istocie pamiątka po ludziach, którzy swoje potencjalne siły, zdolności, przez czas wojny Szwajcarii poświęcili, budując drogi, mosty, ucząc się i zdobywając kwalifikacje, by później służyć swojej ojczyźnie.

Z zamku wychodzę zawiędzony. Jak się później dowiadam, to, co oglądałem, z braku funduszy, inicjatywy, a może i niechęci do nawiązania kontaktu z polskimi muzeami, od dwunastu lat pozostaje w zamku w niezmiennym formie. Nie spełnia już dziś zamek i skromna w nim polska posiadłość roli, jaką mu historia nadała, pomimo faktu, że swoisty to fenomen w dziejach Europy i polskiej emigracji.

5.

Z radością powitałem zaproszenie Romana Gierszewskiego, który z ramienia powstałej pod protektoratem dra Juliana

Godlewskiego fundacji, jako jedyny Polak, w przyszłości sprawami zamku zajmować się będzie.

Siedzimy w zacisnym zurydzkim mieszkaniu R. GIER-SZEWSKIEGO, kiedyś żołnierza, internowanego w Szwajcarii, który, pomimo wieku, aktywność niezwykłą reprezentuje i wśród zespołu Szwajcarów, Polonię w przyszłym kalendarznie Muzeum Polskiego w Rapperswilu reprezentować będzie.

Dziewiętnastego czerwieca br. z kapitałem 100 tys. franków szwajcarskich utworzona została fundacja dra J. Godlewskiego dla rozwoju Muzeum Polskiego w Rapperswilu. Fundacja zarządza 5-osobowy zespół w składzie: dr Th. Gut — poseł i członek Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Polskiego, Ch. Brupbacher — znany bankier zurydzki, E. Fornari — burmistrz Rapperswilu, H. Rehgbe — członek Rady Miejskiej Rapperswilu oraz R. Gierszewski — prawnik. Ta grupa ludzi, od dawna związanych z Rapperswillem i Muzeum Polskim, będzie patronować dalszemu jego rozwojowi, zarządzając przekazanym majątkiem.

R. Gierszewski opracowuje koncepcję Muzeum Rapperswilskiego dla przyszłości. Snuje przede mną pomysły, projekty, o radę pytając. Muzeum służyć będzie przede wszystkim rozszerzeniu wiedzy obco krajowców o Polskę, polskiej kulturze, o wkładzie Polaków w kulturę europejską, o związkach z Europą o bohaterstwie i niedoli, walce o niepodległość i wolność. Od momentu ogłoszenia faktu powstania fundacji, wielu Polaków z zagranicy zapewniło o swej pomocy, deklarując przesłanie rodzinnych dokumentów i pamiątek, które dawna świetność Muzeum przywrócić mogą. Noszą się też organizatorzy z zamiarem nawiązania kontaktu z Muzeum Narodowym na Wawelu, aby zapewnić sobie pomoc fachową, a także materialną w postaci przekazanych eksponatów.

Jeszcze długo w noc rozmawialiśmy o przyszłości Muzeum. Potrzebna mu jest pomoc nie tylko Polaków za granicą, ale i nasza — z kraju.

WITOLD GÓRALSKI

Przyjechał ojciec. Spodziewał go się dopiero w sierpniu, ciotka pisała, że będzie dopiero wtedy, a zjawil się już z początkiem lipca. Nie zapowiedziany. Grzegorz siedział właśnie w gabinecie przy otwartym oknie, zajęty opracowywaniem raportu dla nadleśnictwa, kiedy prawie bezgłośnie przez otwartą bramę leśniczówki wjechał na dziedziniec mały elegancki samochód. Grzegorz, nie wiedząc czemu, od razu pomyślał, że to ojciec. Serce waliło mu gwałtownie, jakby chciało rozszalać piersi, ręką, w której trzymał długopis, zaciskała się kurczowo aż do bólu. Podniósł się jak automat i ruszył odruchowo ku drzwiom. Staral się panować nad sobą. W tej ciężkiej dla niego chwili pomogła mu ciotka. Podeszła szybko do Grzegorza i jakby nie zrucila beztrasko:

— Mógłbyś uściśkać starą ciotkę. Grzegorz wziął ciotkę w ramiona. Poczul się pewniej, mógł na chwilę ukryć twarz.

— Puść mnie, Grzegorz — wolała ciotka — puść, bo mnie udusisz. Nie widziałam cię blisko rok — powiedziała po powitaniu przyglądając mu się uważnie. — Doskonale wyglądasz, zmężniałeś, spowzinałeś.

— Jestem o rok starszy — Grzegorz był rad, że słowa te zabrzmiały całkiem naturalnie.

Ciotka spojrzala w stronę samochodu, z którego wysiadł ojciec Grzegorza.

— Grzegorz, to twój ojciec — powiedziała po prostu.

Grzegorz spojrzal po raz pierwszy na swego ojca. Ojciec stal przy wozie, wysoki, przystojny, dobrze ubrany, z siwymi włosami na skroniach. Patrzył na niego. Wspominając tę chwilę Grzegorz pamiętał, że zanim podał sobie ręce, spotkali się ich oczy. W oczach ojca Grzegorz znalazł ten sam niepokój, jaki był w nim. Ten wysoki, elegancki mężczyzna też był wzruszony i jeżeli zachowywał się naturalnie, to dlatego, że potrafił panować nad sobą. Ale widząc ten niepokój, Grzegorz poczul się pewniej. Rozluźniły się mięśnie, mógł się nawet uśmiechnąć. Podeszedł do ojca i powiedział cicho:

— Witam ojca i proszę do środka. — Nie przywitamy się? — ojciec wyciągnął rękę.

Grzegorz poczul pot na swojej dłoni, kiedy się uściśnęli.

— Dobrze wyglądasz — powiedział ojciec.

— Ojciec również — odparł Grzegorz.

— Mam już pięćdziesiąt siedem lat — ojciec nie puszczal ręki Grzegorza.

— Świeżnie się ojciec trzyma. No, ale chodźmy do domu — zaprosił Grzegorz.

— Zaskoczyliśmy cię — mówiła ciotka, kiedy szli w stronę domu — ale ojciec uważał, że nie potrzeba uprzedzać.

Nie potrzeba uprzedzać. Te słowa przypomniały Grzegorzowi zdarzenia sprzed dwudziestu paru laty. Wtedy też nie trzeba było uprzedzać.

★ ★ ★

Późnym wieczorem leżał Grzegorz na tapczanie w swoim pokoju, ręce podłożył pod głowę i wpatrywał się w ciemności wprostokąt szeroko otwartego okna, w rozgwieżdżone niebo. Na drugim łóżku leżał ojciec. Też nie spał i palił papierosy, jeden za drugim.

Grzegorz miał przed oczami cały dzisiejszy dzień, przypominały mu się wszystkie słowa, każdy szczegół z tego, co się wydarzyło. W pewnej chwili przyszły mu na myśl słowa Wierzbickiego: „On też będzie mówił”. Upłynęło wiele czasu, było wiele rozmów, ojciec pytał o to i owo, ale nie poruszył sprawy najważniejszej, tego, czego Grzegorz bał się najbardziej, ich sprawy. Ich sprawa — tymi słowami Grzegorz określał w myślach to wszystko, co go z ojcem łączyło, a przede wszystkim, co dzieliło. W ich sprawie nie padło dotąd ani jedno słowo — ojciec jej nie podjął, a Grzegorz o nie nie pytał. Jedno było pewne — tak się przynajmniej Grzegorzowi wydawało — ojciec nie robił wrażenia człowieka szczęśliwego. Był dobrze ubrany, dobrze wyglądał, był zdrowy, ale nie był szczęśliwy. Widać to było z jego powściągliwych słów, z zachowania się — ojciec przypominał człowieka szukającego drogi w nieznanym sobie lesie. W pewnej chwili przyszło Grzegorzowi do głowy, że ten jego ojciec również dobrze może udawać, że nie zna drogi w lesie, że cała jego rze-

koma bezradność może być tylko grą z góry zaplanowaną. Musiał przecież zdawać sobie sprawę, że syn nie rzuci się w jego ramiona, jak ocalony rozbitek. Jeżeli udawał, to robił to doskonale. Pomyślał o tym z goryczą. A jednocześnie uświadamiał sobie, lapał się na tym kilkakrotnie w ciągu dnia, że odczuwał do ojca sympatię, może nawet współczucie, właśnie za ten jego brak pewności siebie, za powściągliwość w słowach. Ale przecież w końcu muszą zacząć mówić o tej ich sprawie — myślał Grzegorz — to jest nieuniknione, tak jak nieuniknione jest, że po dniu następuje noc, a po zimie lato. Ta noc, która

ma przywrócić spokój ojcu, może po to tu przyjechał? Przyjechał zobaczyć syna, zobaczyć, jak syn sobie radzi, jak wygląda, zobaczyć, że wszystko jest dobrze i rozgrzeszyć się. Syn jest zdrowy, dobrze mu się powodzi, nie ma więc powodów czynić sobie wyrzuty. A więc można spokojnie wrócić do kraju, do pięknego mieszkania na wyspie i żyć sobie spokojnie.

Ciemność pokoju rozświetlił ogień zapalki. Ojciec znów zapalał papierosa. Potem Grzegorz usłyszał ciche słowa:

— Grzegorz, nie śpisz? Grzegorz przykniął oczy ze wzruszenia.

zagryzł wargi i czekał, co usłyszy dalej. To, co usłyszał, to nie było to, czego się spodziewał. Ale słowa ojca przyniosły mu jakąś nieokreśloną ulgę.

Znowu zapanowało milczenie. Ogień papierosa rozjaśnił na krótką chwilę pokój.

— Ale tę podróż musiałem odbyć — podjął przerwany wątek ojciec. — Myślałem o tym wiele razy, wiele lat wcześniej, każdego roku, niemal każdego dnia pobytu na wyspie, było to jednak z wielu względów niemożliwe. Ale przede wszystkim brakło mi odwagi. Nie chodzi o odwagę, która potrze-

ba, gdy uciekło się z kraju i

Grzegorz milczał.

— A jednak ojciec przyjechał — powiedział w końcu.

— Przyjechałem. Bo moje życie bez rozmowy z tobą, bez widzenia się z tobą, stało się nie do zniesienia.

Grzegorz słyszał, jak serce tłucze mu się w piersi, jak krew uderza mu do głowy.

— Grzegorz? — doszedł do niego cichy głos.

— Tak.

— Słuchasz?

— Słucham.

— Wiem, co mi powiesz, wiem, że nie znajdziesz dla mnie żadnego usprawiedliwienia, że czynisz mnie winnym za wszystko, co się stało.

— Ojciec wie?

— Wiedziałem zawsze, zawsze miałem poczucie winy, krzywdy, jaką wam wyrządziłem.

Grzegorz był zaskoczony tym, co usłyszał i jakby zawiedziony. Ojciec nie próbował się bronić, mówił otwarcie, przyznawał się do winy, uważał, że wyrządził im krzywdę. Czyżby to miało być całkowitym zadośćuczynieniem dla niego, dla jego matki? Za to wszystko, co wycierpeli? Grzegorz nie mógł się z tym pogodzić, poczul coś w rodzaju buntu. Jeszcze trochę, a okazałoby się, że to ojciec najwięcej wycierpiał.

— Czego ojciec spodziewał się po tej podróży? — zapytał Grzegorz ze sztucznym spokojem.

Ojciec jakby się nagle zamknął w sobie.

— Niczego — odparł cicho.

— To nie jest odpowiedź.

— Przyjechałem, bo... już nie mogłem nie przyjechać — dokończył gwałtownie.

— Nie będzie mnie ojciec namawiał do wyjazdu? — powiedział Grzegorz z ledwie dostrzegalną ironią.

— Nie.

— Dlaczego? — Grzegorz nie ustępował.

— Bo wiele zrozumiałem.

W Grzegorzowi wzbierał gniew. Jakby poruszał się we mgłę. Słowa ojca mogły znaczyć wszystko i nic. „Bo wiele zrozumiałem”. „Przyjechałem, bo już nie mogłem nie przyjechać”. Co to naprawdę znaczy? Co ten jego ojciec rozumiał? A może kpi? Uduje, czy rzeczywiście uznaje swoją winę. Trzeba się wreszcie czegoś uciepić, dotknąć, wiedzieć na pewno.

— A dlaczego ojciec nie proponuje mi wyjazdu do Anglii — Grzegorz z uporem napierał, zdecydowany dociec za wszelką cenę prawdy. — Przecież w listach wciąż ojciec nalegał...

Ojciec zapalił znowu papierosa. Milczał długo, potem zaczął mówić zmęczonym głosem:

— Trzy dni temu byłem w Warszawie. Pamiętam to miasto z czterdziestego piątego roku. Szedłem wtedy tym umarłym miastem, z którego nie został kamień na kamieniu, szedłem ze ściśniętym gardłem i nie wierzyłem, że może powstać. I teraz zobaczyłem, na własne oczy zobaczyłem je odbudowane, piękne, wspaniałe. Zrozumiałem, co może naród, co mogą ludzie, którzy kochają swój kraj. I uświadomiłem sobie nagle przerażającą prawdę, że mnie tu nie było, nie miałem w tym udziału, ani jedna cegła nie była przeze mnie położona, niczym nie przyczyniłem się do odbudowy kraju...

Grzegorz milczał. Milczał, chociaż uważał, że to on powinien mówić o tych sprawach, nie ojciec. Powinien powiedzieć, że nie uczynił niczego poza krzywdą, jaką wyrządził swoim najbliższym. Swoje zdolności, energię, swoją młodość oddał innym, obcemu krajowi. Ale nie powiedział tego. Jakby jakaś niewidzialna obręcz zacisnęła mu krtań i nie pozwoliła mówić.

Znowu odezwał się ojciec.

— Wiem, że to boli cię najbardziej, to, co spotkało przeze mnie matkę. Ale nie spodziewałem się, że będzie taka stanowcza, taka zasadnicza.

— Dumny jestem z matki — powiedział z przejęciem Grzegorz.

— Tak, to była wspaniała kobieta.

— Ale ojciec po raz drugi ożenił się — w głosie Grzegorza czuć było drwinę.

— Ożeniłem się w siedem lat po śmierci matki — jakby usprawiedliwiał się ojciec.

— Żaloba była wystarczająco długą — powiedział Grzegorz.

— Grzegorz...

Grzegorz wtulił twarz w poduszkę. W chwilę potem posadził rękę ojca na swoich ramieniu.

— Niech ojciec da mi spokój — powiedział opryskliwie.

EDWARD KOPCZYŃSKI

Ich sprawa

Fragment powieści pt. „Młokos“

— Nie, nie śpię.

— Wiesz, nigdy w życiu nieczego się tak nie bałem, jak tej podróży. Grzegorz milczał.

— Grzegorz, słuchasz mnie?

— Tak.

Długą chwilę trwało milczenie, potem ojciec odezwał się znowu:

chciało się do niego wrócić. Tu potrzeba odwagi na rozmowę z tobą... Powiesz, że dziesięć lat temu byłeś dzieckiem i że ojcu na rozmowę z dzieckiem nie potrzeba odwagi. Tak, ale dziesięć lat temu zacząłem stawać na nogi. Obca ziemia nie jest dla przybysza ze świa-



Foto: Archiwum

— Cokolwiek powiem tej nocy, bardzo chciałbym, żebyś mi wierzył. Będę mówił tylko prawdę, zapewniam cię...

Tu przerwał, jakby się zastanawiał, jakby szukał słów. Wreszcie powiedział: — Tak, niczego się tak nie bałem, jak tej podróży. Powiesz, że mogłem jej nie odbyć, minęło dwadzieścia dwa lata, mogło minąć i więcej.

Grzegorz prawie nie oddychał,

ta przychylna. A potem zaczęły wracać listy pisane do ciebie. Ja dobrze wiedziałem, dlaczego. Gardziłeś mną, gardziłeś już jako trzy-nastoletni chłopiec. Potem w miarę jak czas płynął, było coraz trudniej, zdawałem sobie sprawę z tego, jaka to byłaby rozmowa, domyślałem się twoich pytań, nie miałem wątpliwości, co o mnie sądzisz. Stawiałem temu czoło, na to nie miałem odwagi.

POLEMIKI

A jednak dramat postaw

W poprzednim numerze „Ogłosów“ ukazała się recenzja Mieczysława Walczaka ze sztuki Haliny Auderskiej „Rzeczpospolita zapłaci“, wystawionej w Teatrze Ziemi Łódzkiej. Recenzja ta wzbudziła kilka moich zastrzeżeń. Oto one.

Czy sztuka Auderskiej jest rzeczywiście tylko jeszcze jedną dramatyzacją dzieł Barbary i Zygmunta, jakich tak wiele było w naszej literaturze? I tak, i

nie. Novum tego utworu — w porównaniu z dziełami Felińskiego czy Wężyka — polega przecież na ODWRÓCENIU problemów: nie dramata dwojga osób, ale

dramat programów i postaw jest tu problemem głównym, któremu tamten został PODPORZĄDKOWANY. Stąd Frycz i jego adherenci, stąd Bona, bo przecież nie Barbara ani nie król są głównymi postaciami sztuki. Takie śmiało pod względem dramaturgicznym, zważywszy w dodatku cały balast nie najgorszej tradycji literackiej — odwrócenie problemów, wychodzi

naprzeciw naukowej historii. Zapewne, ale nie ludzmy się, że jest to historia społecznie znana, funkcjonująca w świadomości odbiorcy. Stąd potrzeba wprowadzenia widza w problematykę sztuki i tu pierwszy szkopuł: prezentacja postaci (w I akcie) zdaje się być zbyt statyczna i... zbyt rozwlekła. Czy HISTORYCZNOŚĆ dzieła — w rozumieniu zgodności, choćby

tylko przybliżonej, z rzeczywistością dziejową — nie uwarunkowała STATYCZNOŚCI, tak przecież niebezpiecznej na scenie? Reżyseria starała się owej statyczności zapobiec, ale w pełni nie mogła — bo nie było to we władzy Jana Perza — jej usunąć: unie-możliwił to sam tekst utworu. Przeciwnie, jak recenzentka, oceniałbym więc reżyserię przedstawienia: wydaje mi się bowiem, że gdyby nie wysiłki, zmierzające do zdynamizowania spektaklu, byłby on statycznym aż do niemożliwości. Godzę się natomiast z Recenzentką, że autorka nie uniknęła, tworząc postaci owego utworu, pewnej deklamacyjności, by nie powiedzieć — czarnobiałego schematu. Utwór wszak powstał w nie najlepszych latach dla literatury. Odnosił-

bym to jednak nie tylko do postaci Frycza, ale i innych: jego stronników, możnowładców, ba, samej wreszcie Barbary i Zygmunta. Posłużyć się drastyczną ilustracją: scena między kasztelaną a jej ukochanym. On jej prawi o miłości, ona gada o polityce. Oj, znamy to, znamy... Tymczasem Recenzentka powiada o miłości i prawdziwe uczucia. Gratuluję! Jeżeli jednak cała sztuczność tej sceny uszła uwadze Recenzentki, chapeau bas dla reżysera: toć to jego rzeczywisty sukces.

Nie miejsce tu na spory o szczegóły: dyskuutowałbym z oceną tej postaci Barbary, którą zaproponowała p. Foniok (to nie tylko kobieta krzywdzona i kochająca, ale po prostu poważnie chora i nie całkiem niewinna), dłużej zatrzymałbym się na kapitalnie granej (i najlepiej

chyba napisanej) roli Stańczyka, która nie mieści się w jednej tylko scenie, zastanawiałbym się, czy Bona na pewno była nijaka, choć niechybnie nie była taka, jak bym tego oczekiwał — przecież nie tylko słaba, ale i piekielnie władza.

Historia zmagania o naprawę Rzeczypospolitej jest w tej sztuce nie KOSTIUMEM, lecz TRZESCIĄ. Ma to swoje niedostatki, którym zaradzić ogromnie trudno, ale także i pozytyw. Utwór i spektakl zawierają bowiem spory i ważki ładunek DYDAKTYCZNY: przedstawienie adresowane jest przede wszystkim do młodzieży szkolnej, w związku z rocznicą Frycza Modrzewskiego. Sądzę, że spełni swoje zadanie.

FILM

Samotny grób żołnierza

Uznanie „MINUTY MILCZENIA“ za najwybitniejszą pozycję tegorocznego Dni Filmu Radzieckiego nie określa jeszcze rangi tego filmu. Zrealizowany w oparciu o książkę Anatola Rybakowa, przez mało znanego reżysera Igora Szatrowa, powstał w Centralnej Wytwórni Filmów Dziecięcych i Młodzieżowych im. Gorkiego film dla wszystkich młodych i wszystkich dorosłych. „Minuta milczenia“ kontynuuje najlepsze tradycje tego nurtu radzieckiej kinematografii, który odchodząc

od monumentalnych obrazów Wielkiej Wojny ciąży ku problematyce psychologicznej i często traktuje czas wojny jako punkt wyjścia do rozważań o współczesności. W „Minucie milczenia“ rozważania te zyskały szereg refleksyj i głębszej, na polach koto małego miasteczka budowlanczowie autostrady znaleźli opuszczone mogiłę nieznanego żołnierza. Zwykły szacunek dla grobu każe go ocalić, zwykła ciekawość jego tajemnicy poprowadzi 17-letnie-

go chłopca tropem prawdy, a nade wszystko — pamięci. „Minuta milczenia“ bowiem, to film o pamięci wojny i wszystkich żyjących, o możliwości jej zrozumienia przede wszystkim przez tych najmłodszych. Temat wydaje się nie nowy, ileż prób Jego podjęcia już mieliśmy, prób najczęściej nieudanych, technicznych tanim dydaktyzmem i patosem sprawie często szkodziącym. Autorem „Minuty milczenia“ zawdzięczamy film znakomity, w którym odnajdujemy najlepsze cechy powojennego kina radzieckiego z „Balladą o żołnierzu“ Czuchraja, „Dzieckiem wojny“ Tarkowskiego i „Początkiem“ Panfilowa na czele.

Na płaszczyźnie bezpośredniej konfrontacji czasów wojny i współczesności film Rybakowa i Szatrowa widzieć trzeba jako dzieło wybitne tak w sferze interpretacji ideowej, jak i w sferze artystycznej. A uwagę zwrócić trzeba na to, iż zary-

powstać rzecz nieznośna. Poprowadzić równoległe dwa wątki, ten wojenny i ten współczesny tak, by nie zafałszować prawdy ni jednego, ni drugiego, by nawzajem tłumaczyły się i warunkowały, by utrzymać napięcie obu aż do kulminacyjnego spotkania — to sztuka, dzięki której powstał film o czystości i urodzie niezwykłej i sensach najgłębszych. Nie można się tu oprzeć wrażeniu, że taki film mogli zrobić tylko Rosjanie ze swym własnym doświadczeniem wojny i swą współczesnością, ze wszystkimi swymi cechami narodowymi, ze swoim spojrzeniem na człowieka jednostkowego i na społeczeństwo.

Rosjanie wojenne dzieje, tak jak i inne narody, zawarli w spłzłych pomnikach i nigdy z nich, tak jak i inni, nie zrezygnują. Gdy jednak zaczęli je odrażać, zrobili to w sposób inny niż gdzie indziej — goręcy nigdy nie stała się sarkazmem, bohaterstwo pozostało bohaterstwem, choć inaczej już

szukano o nim prawdy. Tak też jest w „Minucie milczenia“. Gdy powraca się do wojny i do jednostkowych losów, są one tragiczne i gorzkie, są bohater-skie i pełne słabości, są prawdziwe, gdy ludzie walczą i gdy tchórzą i tragicznie prawdziwe, gdy umierają. To spojrzenie przeniesione też na współczesnych, w ich obrazie nie ma jednego fałszywego zgrzytu. Ludzie są tacy, jacy są — dla chłopca cała wyprawa w przeszłość jest najpierw tylko przystankiem, odrywającym go od pracy, w której się nudzi, przeżyje w tej przygodzie swą pierwszą miłosną portażkę, sprawdzi swą życiową zaradność, a w trakcie tego będzie dorastał. W tej do-rosłości dopiero znajdzie się prawdziwe miejsce dla spraw, które były mu dalekie, one ją też spowodują. Sierioza tropiąc pamięć wojny, będzie ją uświadamiał samemu sobie. Spotka różne postawy, inne u tych bezpośrednio przez wojnę tragicznie doświadczonych, inne u

tych, dla których wojna jest pamięcią dzieciństwa, inne wreszcie u tych, dla których jest tylko historia.

W filmie Szatrowa najgłębszą refleksją jest wewnętrzna, ja-kosć pamięci o wojnie, jej wpływ na kształtowanie człowieka współczesnego. I wtedy już nie mówi się o tym, w jaki sposób wojnę pamięta jedno czy drugie pokolenie, mówi się o pamięci w kategoriach najwyższych, określających głębię człowieczeństwa w ogóle. Jeśli ktoś pozostanie na „Minucie milczenia“ głuchy i zimny, jeśli nie chwyci go coś za gardło, gdy uczestniczyć będzie w kończącej film sekwencji przed Grobem Nieznanego Żołnierza na Placu Czerwonym i przy samotnej mogiłe w szarym polu — ten nie z tego filmu nie zrozumiał.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

Dwa filmy

Niestety, tak się składa, że dość często piszę w tej rubryce o filmie niż o „czystej“ robocie telewizyjnej. Są to, oczywiście, filmy przez telewizję pokazywane, co jest zjawiskiem pozytywnym i godnym podkreślenia. Świadczy również jak film jest jeszcze daleko w przodzie, poza zasięgiem telewizyjnej konkurencji.

W zastużonym Kinie Interesujących Filmów obejrzałem film „Ameryka, Ameryka“. Reżyser Elia Kazan znany nam jest dobrze, choćby z wybitnego filmu „Na wschód od Edenu“. Amerykanin greckiego pochodzenia wrócił do przródół swojej twórczości tworząc epopeję społeczno-obyczajową o losie emigrantów do Ameryki, wymarzonej „Ziem obiecanej“. Bohaterem filmu jest młody Grek, który płaci wszelkie możliwe koszty za realizację swojego wyobrażenia amerykańskiego mitu. Są to koszty nieludzkie, ale jakby poza osądem moralnym, gdyż działa on najczęściej w sytuacji przymusowej. To znaczy — musi kraść, oszukiwać, uderzyć nożem, znieść wszelkie możliwe upokorzenia. Film, pokazując losy greckiego chłopca, jest artystycznym uogólnieniem drogi, warunków, pobudek działania większości emigrantów z kontynentu. Ich również wypchnęła w świat niedza brak wszelkich perspektyw na miejscu. I oni również musieli przetrwać swoją drogę przez mękę.

I to, o, iż film kończy się ucałowaniem przez bohatera amerykańskiej ziemi, wiele również można powiedzieć o podstawie sądząc o poc

czeństwa amerykańskiego. Do Ameryki, jak świadczą o tym nie tylko dzieła artystyczne, ale przede wszystkim fakty, wyjeżdżali ludzie silni, ambitni, zdecydowani na wszystko, którzy nie chcieli się pogodzić z beznadziejnością swej egzystencji. I szansę jaką im dawał Nowy Świat, kosztem nie mniejszych wyrzeczeń na ogół wykorzystywali. Kosztem również słabszych, którzy musieli przegrać z silniejszymi w bezwzględnej rywalizacji.

Elia Kazan absolutnie zasłużenie otrzymał za ten film Grand Prix („Złotą Muszlę“) oraz nagrodę FIPRESCI w San Sebastian.

Podobnym w klimacie filmem był radziecki „Taszkient, miasto chleba“, nie wiadomo dlaczego pokazany tylko w programie drugim. Film w reżyserii Szuchrata Abbasowa powstał na motywach powieści Aleksandra Niewierowa, rosyjskiego prozaika i dramaturga, zmarłego w roku 1923. Bohaterem filmu jest 12-letni chłopiec, który w 21 roku z głodującego Powoła udaje się do Uzbekistanu w poszukiwaniu żywności dla umierającej z głodu rodziny. O filmie tym nie można napisać, że się go obejrzało. To był wstrząsający dramat, nie tylko ze względu na napięcie dramatyczne wielu epizodów, ale jego głęboko wruszające humanistyczne wartości. Takie jak poświęcenie dla najbliższych, godność ludzka, której nawet zwierzęce warunki egzystencji nie są w stanie zniweczyć, chłopcę przyjaźni pokonującej bariery nieufności, poczucie solidarności ze skrzywdzonymi — ponad krzywdę własną. Młodzi chłopcy Wowa Worobiej i Wowa Kudienkow zagrali swe niezwykle trudne role doskonale. Było to całkiem dorosłe aktorstwo. Podobnie jak ich rówieśnicy w pamiętnych latach dwudziestych musieli w wielu tragicznych wydarzeniach bardzo szybko wchodzić w rolę ludzi dorosłych. Życie ich do tego bezwzględnie i nieuchronnie zmuszało. Patrzymy więc na te filmy jak na dokumenty przeszłości, ze ściśniętym gardłem i chyba lepiej rozumiemy dzień dzisiejszy,

nas i naszych najbliższych, również tych wchodzących w życie (i na całe szczęście) za jakże mniejszą cenę.

Łódzkie pozycje

Nie mogłem obejrzeć spektaklu łódzkiej TV — „Przy drzwiach zamkniętych“ Jean Paul Sartre'a. Przytoczę jednak opinie R. Kosińskiego z jego „Albumu Telewizyjnego“ w „Trybunie Ludu“, gdyż zwykle podzielam jego zdanie. Po stwierdzeniu, że sztuka Sartre'a będąca wykładnikiem jego egzystencjalnej filozofii posiada również nie starzejące się walory teatralne, Kosiński ocenia poziom wykonawstwa, pisząc: „Spektakl wyreżyserował sugestywnie Tadeusz Woronkiewicz, wydobywając ze sztuki owe wszystkie uwikłania międzyludzkie. Znalazł zaś dobrych wykonawców w osobach Ewy Mirowskiej, Marii Chwalibóg, Bogusława Sochnackiego i Henri Poulaina (scenografia)“.

Dodam od siebie, że taka opinia może cieszyć nie tylko wyżej wymienionych, ale wszystkich, którzy z życzliwością i sympatią obserwują coraz częściej i coraz bardziej udane włączanie się łódzkiej TV do programu ogólnopolskiego.

W niedzielę, z cyklu PORY ROKU W PIOSENCE, reżyser Jerzy Woźniak przedstawił nam kolejny program. Nie wzbudził on we mnie większego zachwytu, ale my w całym kraju mamy taką rozrywkę jaka jest. I chyba jeszcze dużo wody spłynie rzekami do morza, aż się coś zmieni. Tym razem program częściowo skompilowano z rzeczy już kilkakrotnie oglądanych w różnych tele-dyskach. Z łódzkich wykonawców zobaczyliśmy sympatyczną Zofię Kamińską i Framerów, którzy bardzo ładnie jedzili konno. Dziewczęta z grupy baletowej „Le Soleil“ zademonstrowały zgrabne nogi, a więc i tak niemało, choćby dla największych malkontentów.

JAROSŁAW TARNO

KONKURS

NA PAMIĘTIK I WSPOMNIENIA BYŁYCH DZIAŁACZY ORGANIZACJI MŁODZIEŻOWYCH

1. Z okazji zbliżającej się 30 rocznicy powstania Związku Walki Młodych oraz rocznicy zjednoczenia ruchu młodzieżowego w Polsce Ludowej — Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi przy współudziale Wojewódzkiej Komisji Współpracy Organizacji Młodzieżowych, Komisji Historycznej oraz Wydawnictwa Łódzkiego ogłasza konkurs otwarty na pamiętnik i wspomnienia byłych działaczy organizacji młodzieżowych (Związku Walki Młodych, Związku Młodzieży Wiejskiej „Wiel“, Organizacji Młodzieżowej Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, Organizacji Harcerskiej — Związku Harcerstwa Polskiego, Związku Młodzieży Polskiej, Związku Akademickiej Młodzieży Polskiej).
2. Organizatorzy konkursu zwracają się z gorącym apelem do byłych aktywistów organizacji młodzieżowych z lat okupacji i Polski Ludowej, aby w atmosferze codziennych zajęć i obowiązków powrócili pamięcią do dawnych, trudnych lat walki i pracy, budowania podwalin nowego ustroju i utrwalania władzy ludowej, do tych lat, kiedy kształtowały się ich charaktery i osobowość. Naszym pragnieniem jest, aby wydarzenia, których uczestnikami lub świadkami byli autorzy, ocalały od zapomnienia i w formie pisemnego przekazu stały się twórczą inspiracją dla młodego pokolenia obywateli naszego kraju. Organizatorzy konkursu będą szczególnie wdzięczni za nadsyłanie prac, związanych z regionem Łódzkim.
3. Objętość prac: pamiętnik bądź wspomnienia — minimum 15 stron znormalizowanego maszynopisu.
4. Ilość prac nadesłanych przez jednego autora — dowolna.
5. Każda praca winna być przesłana w osobnej kopercie i zaopatrzona godłem. W drugiej zalokowanej kopercie także zaopatrzonej tym samym godłem, należy podać imię i nazwisko oraz dokładny adres autora i tytuł pracy.
6. Prace nigdzie nie publikowane ani we fragmentach, ani w całości, w ilości trzech egzemplarzy maszynopisu należy nadsyłać na adres: Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi, ul. Ogrodowa 15. Jako nadawcę należy podać Związek Literatów Polskich, Łódź, ul. Mickiewicza 8.
7. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 grudnia 1972 r.
8. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w terminie do dnia 15 marca 1973 r.
9. Skład Komisji Konkursowej Zostanie podany do wiadomości w terminie późniejszym i ogłoszony w prasie.
10. Prace nie nagrodzone należy odbierać w Wydziale Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi, ul. Ogrodowa 15, pokój 407, tel. 584-00, wew. 305 w terminie od 15 marca 1973 r.
11. W przypadku nieodebrania prac zostaną one po komisijnym otwarciu kopert rozesłane pocztą.
12. Ustala się następujące nagrody:

I — 6.000 zł

II — 4.000 zł

III — 3.000 zł

oraz 3 wyróżnienia po 1.000 zł

Jury zastrzega sobie możliwość innego podziału nagród ewentualnie nie przyznanie niektórych nagród w ogóle.

11. Organizatorzy gwarantują na specjalne życzenie zachowanie tajemnicy autorskiej.

12. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo wyboru pierwszeństwa publikacji nagrodzonych prac w czasopiśmie młodzieżowych i kulturalnych z zachowaniem obowiązujących stawek.

LEPSZY NIŻ ŁÓDZKI PRAWIE JAK WARSZAWSKI

Nie sposób wjechać którakolwiek z dróg do Radomska, by nie dostrzec informacji o partyzanckiej przeszłości miasta lub... tutejszych gastronomicznych atrakcjach. A przecież nie tak dawno miasto słynne było z czegoś innego. Awansowało do roli probierza trzeźwości w stosunku do znanego zespołu rozrywkowego, a pomyślnie wiatry przygnały nad miasto intymną część ubioru bożyszcza nastolatów, o której mieszkańcy mieli sprawiedliwie zawyrokować, czy została publicznie spuszczone, czy nie.

Moje wątpliwości kierownik miejscowego PDK pomija milczeniem, po czym informuje, że czyni usilne starania o przydrożną reklamę miejscowego kabaretu. Jeśli zamierzenia kierownika zostaną zrealizowane zdumieniem przyznych nie będzie końca. Kabaret jest przecież w powszechnym odczuciu zjawiskiem występującym dopiero na poziomie stolicy, lub co najmniej wojewódzkiego miasta. Jego egzystencja w powiecie, jeśli nie trwa tak długo, jak błysk komety, jest skrzętnie skrywana, gdyż nie daje najczęściej świadectwa dobrego gustu i za wizytówkę zatem służyć nie może. Radomszczańskie kabaret dawno już rozszedł schemat tej opinii. I dobrze, bo nie ma nic gorszego nad nadawania przywilejów kulturalnych tym, którzy już z racji swego znaczenia i wielkości zawsze z nich korzystali. Kabaret tutejszy jest na dobrą sprawę rumieńcem wystydu dla wojewódzkiej Łodzi, która, pomimo ulotne efemerydy, nie uczyniła z tej formy rozrywki trwałej tradycji dla siebie. Dlatego interesowały mnie nie tyle sposoby reklamowania kabaretu na pozapowiatowym gruncie, ile geneza i wszelkie sprawy związane z tym radomszczańskim zjawiskiem.

W świadomości każdego interesującego się na co dzień sprawami miasta, radomszczańskie kabaret utożsamiany jest zawsze z osobą inżyniera JANA NIEZABITOWSKIEGO. Bo też jest i on najważniejszym jego współzałożycielem. Reżyserem, kierownikiem artystycznym, świetnym wykonawcą, jednym słowem duszą, która przyoblała się w kształty rozrywki, jakiej Radomsko dotąd nie zasmakowało. Być może ten warszawiak z pochodzenia, a radomszczanin z wyboru trafił tu jako absolwent Politechniki Warszawskiej przypadkowo. Jego kabaret jednak chyba dziełem przypadku nie jest.

Kierownik PDK, MACIEJ ZIEMBIŃSKI, utrzymuje, że Radomsko miało zawsze szczęście do ludzi realizujących swoje pomysły, które na początku z pozoru szalone, przynosiły miastu zaszczyty, odrywając odeń opinie kulturalnego zaścianka. Była przecież działalność prof. STANISŁAWA SANKOWSKIEGO, u którego podejrzewano wręcz obsesję, póki muzeum (cel jego wieloletnich dążeń i ambicji) nie pojawiło się w centrum miasta. Jest nie od dziś orkiestra symfoniczna z prawdziwego zdarzenia, jako rezultat mozolnej pracy HENRYKA FAITA. Inicjatywa (nie ostatnia zresztą) MAŁŻENSTWA ŁĘSKICH zaowocowała w postaci zakładowej gazety „Głos Famegu”, a ZBIGNIEWA SPÓLNICKIEGO dała początek znanemu w województwie Teatrowi Propozycji.

A kiedyś z kolei, prawie wprost ze sceny stołecznej „Stodoły”, trafił do Radomska inż. J. Niezabitowski. Anegdota mówi, że trafił w objęcia znanej z poczucia humoru grupy lekarzy, którzy zapragnęli na scenie wypróbować skuteczność swych żartów. „A może byśmy tak zrobili kabaret” — przypomniała dziś anegdota rzekome słowa rozbawionych eskulapów, z którymi ponoć zwrócili się do przybysza. Nie trzeba było Janowi Niezabitowskiemu tego dwa razy powtarzać. Rozgrzany jeszcze występami w „Stodole”,

przeżywającej wówczas wraz z całą studencką sceną okres swojej niepowtarzalnej świetności, daleki był od pragnień ostudzenia swego zapalu wietrzykiem prowincji, który urągając wzniecał nad głowami ojców miasta tuman kurzu z placu budowy, gdzie dom kultury miał się dopiero w mękach i bólach narodzić. Nie trzeba było powtarzać, bo inżynier zdobył pierwsze szlify w kabarecie, w którym wraz z nim występował: Bogdan Czyżewski, Iga Cembrzyńska, Jan Stanisławski, Krzysztof Świętochowski — dzisiejsi profesjonalści. To zobowiązywało. A poza tym, jak wszędzie słyszałem, urodzajny jest grunt w Radomsku. Złośliwi utrzymują, że wszystko wyda z siebie — i dobrą robotę i plotkę i niezdrową sensację.

— Nie chciałem „z niebiańskim spokojem siedzieć przy biurku surowym, gdzie huczy, dymi samowarek, a ja równiutko jak zegarek, zawsze z jednakową ochotą niżam myśl nitkę złotą i uprawiam interesik” — uzupełnił anegdotkę przeróbką Boja Jan Niezabitowski, wyjaśniając tym samym do końca powody, dla których on i jego zespół poświęcił bezinteresownie tyle prywatnego życia sprawie, mogącej zyskać miano wszystkiego, lecz nie finansowego biznesu. Bo pan Jan jest człowiekiem sceny i wie, że trafny wierszyk więcej wyjaśni od najdłuższego komentarza.

Po latach, wydarzenia przeszłe, owiane atmosferą sentymentu, zyskują wymiar ciepły i prosty, ale problemy przeżywane w trakcie ich rozwiązywania gniołają swoją przziębłością. Zna to doskonale z...ól, który podjął przed dziesięć laty próby pierwszego programu kabaretu.

Pięknie to się teraz nazywa, ale wszystko było wtedy pierwsze i surowe. Ludzie, poza Janem Niezabitowskim, kiepsko trzymali się sceny, chociaż c...ci były ogromne. Brakło lokalu, pierwsze montowanie tekstów i piosenek. Była poniewierka po prywatnych mieszkaniach, pokojach i strychach, stąd nazwa „Nietoperz”, który w styczniu 1984 roku odbył swój pierwszy lot do kawiarni „Stylowa”, by zaprezentować publiczności program „Jaś się doczekał”. Program ten nawiązując do imienia założyciela, nadziei zespołu i wiersza znanej poetki, stał się sukcesem, a kabaret na dobre zamieszkał pod dachem kawiarni. Lecz na dobrą sprawę sukces przedstawienia nie polegał wcale na rozgłosie, popularności i zdobywanych zadziwiająco szybko nagrodach na amatorskich festiwalach wojewódzkich i ogólnopolskich. Prawdziwe powodzenie leżało w zespołowym pokonaniu tysiąca trudności, barier wznoszonych tu i ówdzie przez niechęć ludzką, na stworzeniu programu wartościowego i na poziomie, wreszcie w przysporzeniu miastu rozrywki, jakiej dotąd nie znało, a której potrzebowało, bo potrzebowało wówczas każdej. Tak właśnie oceniał swój pierwszy występ sprzed lat członekowie „Nietoperza”.

Dziś już prawie nie sposób wymienić pełną listę nagród „Nietoperza”. Przykłady jego szerokiej prezentacji na rynku krajowym można by również mnożyć w nieskończoność. Nagrania w radio, występy w TV (w tym prawie godzinny program na antenie ogólnopolskiej), pierwsza nagroda na festiwalu w Polanicy, druga w Cieszynie tuż za zespołem „Anawa”.

Po prawie dziesięciu latach żywej działalności, wciąż wzbogacając konto własnych sukcesów „Nietoperz” zdobywa nowych wielbicieli, zdumiewa atrakcyjnością i pomyślnością programów, wywołuje zawist i beznadziejność u tych, którzy chętni by go nazwać nie tylko prowincjonalnym z pochodzenia, ale i z poziomu. Tajemnica sukcesów „Nietoperza” leży nie tylko w rzetelnym przygotowaniu wy-

stępu, ale w kulturze i smaku, z jakim dokonywany jest wybór tekstów. Nie były one nigdy lekkostrawną papką dla prowincjonalnej publiki, ale zawierały w sobie zawsze ostrze satyry godzące w bolączki nie tylko lokalne, lecz i ogólnopolskie, ukazywały ich związki, współzależności i żalosne skutki. Sprawy miejscowe ukazywał kabaret na tyle spraw, którymi żył kraj. Przecież jeśli ktoś na szczeblu centralnym, wytłumaczono mi, pukał się w głowę, która była pusta, to nie tylko słycać, ale przede wszystkim czuć było w powiecie. Tak samo w przypadku odwrotnym. To szczęśliwe łączenie w każdym programie problemów pozornie odległych z pozornie bliskimi, odbywało się za sprawą, a raczej dzięki znajomościom inż. Jana Niezabitowskiego. Swoje koneksje z czasów studiów nadal podtrzymuje a poprzez kabaretowe nowe zdobywa i czerpie pełnymi garściami ze świetnych tekstów STS-u, „HYBRID”, „Cytryny”, „Bufora” i „Meluzyny”. Kiedy więc przyjdzie mu włączyć w nie własne, wie, że poziomem muszą sięgać tamtych. Dlatego też podoba się zarówno publiczności w Radomsku, Bytomiu i Polanicy, gdy w tym samym programie zespół śpiewa tekst J. Minkiewicza: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, lecz nie przejdziem przez kałużę”, a potem Jan Niezabitowski w swojej pio-sence nawołuje „węc pijmy, węc pijmy na cele kultury z tradycją masową — społeczny cel to”, bowiem uchwałała rada w Radomsku podatek 1 zł od wypitej butelki na cele kulturalne, z którego wolno, latami rodził się dom kultury.

I tu znów można odwołać się do anegdoty, którą kierownik zespołu potwierdza. To, co w Radomsku krytykował kabaret, inż. Jan Niezabitowski budował własnymi rękami. Sam bowiem, chcąc nie chcąc, trafił na budowę PDK, bo przecież inżynierem budowlanym jest z zawodu.

Kabaret, mimo swego satyrycznego zacięcia, więcej wokół siebie wytworzył ciepła i przychylności, niż jadu i nienawiści. Przychylnie więc patrzy nań miejscowa władza i jest z niego dumna. Trudno zresztą nie być dumnym, gdy się widzi, że młoda inteligencja dobrze się bawi, a tę która przyjęła na siebie powagę utyskiwaczy i skrzywdzonych przez los, kabaret już choćby samym faktem swego istnienia, ośmiesza.

„Nietoperz” nie jest już najmłodszy i ludzie się w nim pozmiękali. Ci, którzy zeń już odeszli, zyskali coś, co jest niewymierne i wyważyc się nie da, a co są w stanie ocenić jedynie pracujący dla kultury, a i czasem... wdzięczna publiczność. Tu pojawiły się autentyczne talenty, jak chociażby ZYGMUNT KUKULSKI, o którym mówi się w Łodzi, że powinien podanie do ministra napisać, by otrzymać zezwolenie na egzamin do szkoły aktorskiej. Zygmunta Kukulskiego widziało już na scenie dwóch ministrów, ale ten właściwy mógłby zobaczyć swego mentora w znakomitym programie „Q&Q show”, który bynajmniej wcale nie jest odpowiedzią kabaretu na wydarzenia związane z głośnym radomszczańskim skandalem, choć właśnie tak próbowano odczytać spektakl.

I, oto znów jakby się nie chciało, każdy, kto choć przez moment zaduma się nad radomszczańskimi sprawami, znajdzie się po pewnym czasie w położeniu owego przyznanego, który rozbieranym oczyma szuka w Radomsku namacalnych śladów tego, co rozegrało się tu niedawno i zbulwersowało kraj. Bo rzeczywiście, od pewnego czasu unosi się nad Radomskiem jakaś dwuznaczna atmosfera, utkana z podejrzeń o ciemnotę i kłutwość jego mieszkańców. I aż dziw bierze, że miasto, gdzie nowoczesny kabaret, pełno energicznych i pomysłowych ludzi, a każda inicjatywa znajduje kuratora (przykład „Nietoperz”), o mało co nie zostało okrzyknięte ohydny Ciemnogrodem, w którym wszystko, co nie święte, burza, albo prowincjonalnym zadupiem, dokąd byle cwaniak może przybyć w charakterze baszy, posła lub inspektora NIK-u. Gdzieś tam, w stolicy i poza, pisano i pokliewano sobie soczyście na ten temat. A „Nietoperz” w tym czasie przygotował po prostu swój nowy program. Był to tym razem „Ubu-król” Alfreda Jarrogo. Program ciekawy, kontrowersyjny, odważny w tekście i reżyserii. I jest, wbrew oczekiwaniom podejrzliwych, oklaskiwany sownie, wali nań publiczność nie, żeby potępić, lecz by zakosztować dobrej rozrywki. Bo powiedział założyciel kabaretu: wszystko jest w rękach ludzi i tylko od nich zależy, ile w stolicy będzie prowincjonalności, a na prowincji stołeczności. Chyba warto tu i ówdzie rzecz tę przemyśleć.

PLASTYKA

KTO ZAPROJEKTUJE NOWOCZESNĄ KLAMKĘ DO NOWOCZESNOŚCI?

Ubóstwo, a nierzadko całkowity brak form małej architektury w pejzażu miejskim, jest czynnikami poważnie obniżającym codzienną urodę miasta i poszczególnych jego enklaw i to zarówno tych starych, poddawanych remontom i konserwacjom, jak również nowo zbudowanych, bezdusznych w swej monotonii, w swej pośpiesznej identyczności.

Istnieje u nas problem ławki parkowej, ulicznego kosza na śmieci, problem przystankowej wiaty i ogłoszeniowego stupa — problem istotny, bo wyjęty

przykładowo tylko z całego zespołu innych, takich jak problem nowoczesnej klamki, umywalki, sedesu, standardowego mebla, standardowego sprzętu turystycznego, opakowania i tak dalej i dalej. Istnieje u nas ciągle nie rozwiązany problem projektowania form przedmiotów codziennego użytku, a sporadyczne wyłomy w tym archaicznym systemie nie zwalniają rychłego i pomyślnego przewrotu.

Do pewnego momentu zajęci byliśmy dźwiganiem kraju z ruin i nie było czasu ani mo-

żliwości na zajmowanie się formą plastyczną tyżki, gdy dylematem było, co położyć na talerzu. Potem brak było odpowiednio przygotowanych fachowców, więc zaczęliśmy kształcić na różnych wyższych szkołach plastycznych artystów-projektantów, oczywiście najpierw — przez czas o wiele za długi — wedle własnych programów i metod, a że nie posiadaliśmy żadnych w tym względzie doświadczeń, rozwalaliśmy mury dawno rozwalone. Na koniec, gdy były już środki i byli jak-tako przygotowani fachowcy, okazało się, że bariera najtrudniejsza do sforsowania nie są wcale gusty konsumentów a różne „opory” tych najbardziej zainteresowanych, to znaczy samych producentów. I do tej pory współpraca plastyka-projektanta z zakładem przemysłowym wygląda jak, nie przymerzając tor przeszkód, co oczywiście odbija się na estetyce wyrobów. To wszystko przedstawiłem w dużym, oczywiście, skrócie, a po to jeno, aby wykazać, że niedomogi małej architektury i miejskiej szaty informacyjno-dekoracyjnej dzieją się na ile szerszym, na ile niskiego w ogóle standardu estetycznego naszych wyrobów przemysłowych.

Ze sytuacja taka budzi zrozumiałe zaniepokojenie wśród ludzi w pewnym stopniu (choćcaż-

by z racji swojego zawodu) odpowiedzialnych za poziom estetyczny naszego otoczenia, to znaczy wśród artystów, że nie przyspokoja oni oczu na stan faktyczny, świadczą zorganizowana staraniem grupy łódzkich rzeźbiarzy w Salonie Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza wystawa pn. „Plastyka towarzysząca architekturze”. W zaproszeniu do tejże wystawy czytamy: „Wystawa gromadzi projekty koncepcyjne, będące propozycjami plastycznymi do wykorzystania w architekturze. Adresatem prac są biura projektowe oraz instytucje biorące pośredni i bezpośredni udział w kształtowaniu otaczającej nas architektury i urbanistyki”. Zamierzenie więc ambitne i w pewnym sensie nowatorskie, w każdym razie na naszym terenie. Realizacja tego zamierzenia w takiej formie, w jakiej została udośćwiona adresatom i zainteresowanej publiczności, pozostawia wiele do życzenia i można by tu z autorami poszczególnych propozycji dyskutować, wtykając im chociażby brak koncepcji przewodniej łączącej przedstawionych form przestrzennych, wykładzin, elementów dekoracyjnych z architekturą, ale byłoby to dzielenie skóry na nie zabitym jeszcze niedźwiedziu. Ważna bowiem jest w tym wypadku już sama inicjatywa stwarzająca płaszczy-

znę do dyskusji i porozumienia. Wiadomo, że u nas architekt i urbanista współpracują z plastykami jedynie w przypadkach sporadycznych, z reguły tam, gdzie robi się jakiś specjalny konkurs lub specjalne opracowanie. Najczęściej rola plastyka ogranicza się do wykonania makiet, a i to nie zawsze. O przyczynach takiej izolacji mówić nie ma powodu, bo są one wiadome, skutki zaś są również widoczne na każdym kroku. Godzi się jednak podkreślić, że w procesie powstawania obiektu architektonicznego czy układu urbanistycznego plastyka jest na samym końcu, jest dodatkkiem jak przysłowiowy kwiatek w butonierce, czyli rzecz nazywając po imieniu — po prostu ozdóbka. A jeżeli inwestor ma kłopoty z finansami — a ma je niemal zawsze — rezygnuje kolejno z elementów „plastycznego wystroju”, skutki są widoczne, a maskuje się je potem planszami, gablotami, pa-prociam i w donizkach i czym się da.

Najciekawszym w tej całej historii jest fakt, że zarówno architekt jak i plastycy widzą wyraźną potrzebę wzajemnej współpracy. I szansę takiej współpracy należało by im stworzyć chociażby dla spokoju sumienia, dla sprawdzenia, o ile owe chęci są ukłonami kurtuazyjnymi, a o ile rzeczywistą

potrzebą i konstruktywnym dążeniem do poprawy istniejącej sytuacji. Przyпускаjąc, że w chwili obecnej Łódź ma okazję stać się poligonem wspólnych manewrów artystów i architektów tym bardziej, że jedna ze stron uczyniła już realne przygotowania. A pomijając już wszystkie inne oczywiste „za” w tej kwestii, byłoby niewybaczalną krzywdą dla łódzkich rzeźbiarzy, wsak pełnych dobrej woli, gdyby ich inicjatywa została po prostu zlekceważona tak, jak wiele innych inicjatyw, które wyszły od łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków.

Droga do nowoczesności to także droga eksperymentu i ryzyka, które w imię celu warto jest podejmować. Więcej — podejmowanie ich jest koniecznością.

ANDRZEJ GRUN

W wystawie „Plastyka towarzysząca architekturze” udział wzięli: MICHAŁ GALKIEWICZ, ALEKSANDER HALAS, JADWIGA JANUS, ANDRZEJ JOCZ, WŁADYSŁAW KOWALCZYK, ANDRZEJ ROSE, BOGDAN SKOPIŃSKI, ANTONI STARCZEWSKI, EWA TYC, ZBIGNIEW WŁADYKA, KAZIMIERZ ZUK.

Polityka na świecie

Za cenę Tajwanu

„ECONOMIST” — LONDYN

Wizyta Tanaki w Pekinie nie przypominała bynajmniej lądowania na obcej planecie, jak to miało miejsce z wizytą Nixona w lutym. Wielu Japończyków już przez pewien czas jeździło do stolicy chińskiej, by tę wizytę odpowiednio przygotować. Mimo to, wójt premera był dla Japończyków jednym z najbardziej dramatycznych wydarzeń w powojennej historii Japonii. Miał on także pewien element teatralności — poetycki panegiryk Tanaki na cześć Pekinu oraz przesadne wyrażenie skruchy za wojenne przestępstwa Japonii.

Ale, w odróżnieniu od wizyty Nixona, wynikiem podróży Tanaki było zawarcie porozumienia w sprawie, znajdującej się w centrum uwagi dzisiejszego politycznego życia Japonii: przed swoim odjazdem z Chin Tanka zerwał dwudziestoletnie więzy z reżimem Ciang Kai-szeka na Tajwanie i wyznaczył je na dyplomatyczne stosunki z Pekinem.

Jest całkiem logiczne i zrozumiałe, że japoński zółw musiał przesiąknąć amerykańskiego zajęcia w oficjalnym uznaniu rządu pekińskiego. Rzecz polega na tym, że w przeciągu blisko dziesięciu lat Japonia utrzymywała z Chinami dużo bliższe stosunki, niż Stany Zjednoczone, nawet dziś, po tylu zabiegach; japońscy korespondenci pracują w Pekinie nieprzerwanie od 1964 roku; Japonia jest największym partnerem handlowym Chin od 1965 roku i nawet w ciągu ostatnich dwóch lat, kiedy Chiny prowadziły wścieklą kampanię propagandową przeciwko „militarystycznemu” rządowi Sato, do Pekinu przyjeżdżało więcej gości z Japonii, niż z jakiegokolwiek innego kraju.

Trzy fakty przeszkadzały Japończykom w rozszerzeniu tych kontaktów na sferę dyplomacji: fakt, że Japonia odgrywała rolę

młodszego braciśka Waszyngtonu, który sam nie mógł pójść aż tak daleko, ostrożnym konserwatywnym pravicowym politykiem japońskich oraz stosunki Japonii z Tajwanem. Decyzja Nixona o wizycie w Pekinie usunęła pierwszą przeszkodę, a także drugą — przecież właśnie „nixonowski szok” sprawił, że partia liberalno-demokratyczna wybrała tak oryginalnego lidera, jak Tanaka. Pozostała trzecia przeszkoda. Żądania, żeby Japonia poszła w ślady 73 krajów, które już uznały Pekin, wydawało się niemożliwe do spełnienia. Wreszcie, Japończycy z ubolewaniem, z poczuciem winy i z zastrzeżeniami zaczęli się stopniowo wycofywać z oficjalnych stosunków z Tajwanem, przyznając na koniec, że trzeba będzie położyć im kres.

Likwidacja roli Japonii jako najważniejszej, po Stanach Zjednoczonych, podopry Tajwanu była wyrażeniem jednym z celów, do których dążyły Chiny, zapraszając Tanakę do Pekinu. Teraz Pekin jest najwiedźniej gotów pozwolić wyspię na niezawisłą egzystencję w swego rodzaju politycznym zapomnieniu. Z kolei rząd japoński ma nadzieję na utrzymanie handlu z Tajwanem, którego globalna wartość jest w dalszym ciągu o 25 procent większa, niż handlu z Chinami.

Z drugiej strony, jedną z przyczyn uporu, z jakim Czu En-lai zabiegał tego lata o przychylniejsze traktowanie, było fakt, że Japończycy przygotowywali się do zawarcia dwóch ważnych porozumień ze Związkiem Radzieckim: traktatu pokojowego i umowy o eksploatacji złóż syberyjskiego gazu. Pekin, liczy najwiedźniej na to, iż nawiązując bezpośrednie stosunki z Tokio będzie mógł przeciwdziałać wpływowi Związku Radzieckiego bardziej skutecznie, niż dotąd.

Zwraca uwagę jeszcze je-

den interesujący fakt. Chiny, którym udało się spowodować pewne napięcie w stosunkach między Japonią a USA, są jednak zainteresowane w zachowaniu sojuszu japońsko-amerykańskiego. Manifestacyjną wielkoduszność Czu En-laia wobec Japonii, który nie zażądał anulowania porozumienia o wzajemnym bezpieczeństwie (między Japonią i USA), można chyba wyjaśnić jego obawą, iż złożenie amerykańskiego parasola jądrowego pchnęłoby Japonię na drogę poszukiwania broni jądrowej, czego Chiny nie chcą za żadną cenę. Chińczycy, częściej ze względu na propagandowych, ale częściowo i z niekłamanej obawy, zmierzają niewątpliwie do neutralizacji groźby japońskiego militarizmu, który w przeszłość

ci był motorem ich zbrojnych napaści.

Oczywiście nie mogą mieć nadziei, że wystarczy do tego li tylko wymiana ambasad, niemniej, być może, że i to ostudzi w Tokio zamysły zwolenników wojny.

Chiny spoglądają na Japonię przede wszystkim z punktu widzenia własnych interesów obronnych, ale Japończycy liczą na to, że ich nowe stosunki z Chinami będą sprzyjać umocnieniu międzynarodowej pozycji Japonii. Poza tym faktyczne zmiany w stosunkach Japonii z wielkimi mocarstwami będą na pewno o wiele mniej dramatyczne, niż niegdyś przypuszczano. Japończycy nawiązują oficjalne stosunki z Chinami, ale dalszy ich rozwój, nawet po wymianie ambasadorów, nie będzie łatwy.

Przed konferencją w Helsinkach

„MONDE DIPLOMATIQUE” — PARYŻ

Mające się odbyć w Paryżu w dniach 19—20 października br. obrady „na szczytach” krajów — członków i kandydatów na członków Wspólnego Rynku, powinny podjąć próbę wypracowania wspólnej „europejskiej” pozycji w stosunku do krajów „zagranicznych”. Problem ten trzeba będzie przesunąć poza ramy ekonomiczne i walutowe, i ustawić w planie politycznym, by móc nakreślić, choćby w ogólnych zarysach, wspólną politykę wewnętrzną nie tylko wobec USA i Japonii, lecz także wobec krajów socjalistycznych Wschodniej Europy.

Ratyfikacja przez Bonn porozumień z Moskwą i Warszawą, podpisanie czterostronnego porozumienia w sprawie Zachodniego Berlina i wreszcie radziecko-amerykańskie spotkanie „na szczytach” otworzyły drogę do zwolania ogólnoeuropejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy. Proces odprężenia w Europie, zapoczątkowany w 1965 roku, przybrał takie rozmiary, że teraz nie ma chyba żadnych poważnych przeszkód do peł-

nej normalizacji stosunków Republiki Federalnej z Niemiecką Republiką Demokratyczną, z Czechosłowacją i innymi krajami Wschodniej Europy. Jedno po drugim gąsna, lub już zgasły, ogniska napięć na kontynencie.

Powstały więc całkiem nowe warunki, w których Zachodnia Europa przygotowuje się do spotkania ze Wschodem na ogólnoeuropejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy. Problemy obu państw niemieckich, a nawet Europy Centralnej, zeszły już z porządku dziennego spraw aktualnych. Dziś poświęca się im coraz mniej uwagi, ponieważ w Europie, używając określenia prezydenta Pompidou, nie ma już stanu „konfrontacji”. Teraz konfrontacja odbywa się na innych obszarach. Rzecz w tym, że Zachodnia Europa musi szukać dróg do zaakcentowania swego „oblicza” i umocnienia swojej niezależności w sferze stosunków ze Stanami Zjednoczonymi (w stosunkach ze Związkiem Radzieckim takich problemów Zachodnia Europa nie ma). I dlatego też,

aby wygrać tę ciężką batalię o niezależność, należy teraz, już po nawiązaniu przyjaznych stosunków ze wschodnimi sąsiadami, spróbować zawrzeć z nimi sojusz, by móc rozpocząć proces prawdziwego „budownictwa europejskiego”.

Wielostronne rozmowy w sprawie przygotowania ogólnoeuropejskiej konferencji powinniśmy, w zasadzie, rozpocząć w końcu listopada w Helsinkach. Procedura tych rozmów, zainteresowanie, które mogą wzbudzić, chęć do dyskusji na temat bezpieczeństwa (redukcji liczby wojsk) z jednej strony i współpracy — z drugiej, charakter instytucji, czy organów, które, być może, zostaną powołane do życia na ogólnoeuropejskiej konferencji w Helsinkach oraz wiele innych spraw, słowem wszystkie te problemy zostaną z pewnością poddane ocenie na spotkaniu przywódców krajów rozszerzającego się Wspólnego Rynku. Ważnym elementem narad byłoby też zarysowanie możliwości koordynacji licznych punktów widzenia na te sprawy.

Nie wygląda jednak na to, że uda się na obradach w Paryżu (jak zrobiły to kraje członkowskie Układu Warszawskiego) wypracować jakąś wspólną platformę działania. Wzajemnie „front” nie oparł się działaniu ciepłych wiatrów odprężenia. Jednakże aktualne linie polityczne szeregu zachodnioeuropejskich krajów (i bynajmniej nie małych krajów) są bardzo różne, ponieważ służą przeróżnym interesom i wypływają z różnych koncepcji, dotyczących przyszłości Europy.

Francja jest przekonana, że bez jej udziału nie można podjąć w Zachodniej Europie żadnych ważnych i wiążących decyzji. Położenie geograficzne i strategiczne, potencjał polityczny i ekonomiczny Francji są takie, iż żaden nacisk ze strony partnerów nie może jej zmusić do udziału w jakiegokolwiek decyzji. Francja godzi się na uczestniczenie w „ogólnej akcji” tylko wtedy, gdy odpowiada to jej interesom lub interesom Europy, takim, które uważa za słuszne z jej punktu widzenia.

W ramach świata zachodniego i Paktu Północno-

atlantyckiego, których jest częścią, Francja może zabezpieczyć swoją niezawisłość i swobodę działania oraz odgrywać rolę aktywnego „fermentu” tylko wtedy, jeśli będzie miała w ręku europejskie atuty, a przede wszystkim jeżeli będzie kontynuować politykę współpracy ze Związkiem Radzieckim. Najlepiej podmuć „zimnej wojny” skazywałby Francję na bezwład i położył kres jej niezawisłości (jak w latach 1948—1954). Oto dlaczego Francja jest tak bardzo zainteresowana, by proces odprężenia rozwijał się bez przeszkód i żeby Europę przeniknął duch przyjaźni i współpracy. Mając na uwadze te właśnie perspektywy, Francja poparła wschodnią politykę kanclerza NRF, Willy Brandta, która nie tylko odegrała ważną rolę w umocnieniu pokoju w Europie, lecz także zapewniła obu krajom dużą niezależność w stosunkach z USA.

Jeśli chodzi o Republikę Federalną, to wszystko wskazuje na to, że boi się ona jeszcze zdobytej niezależności. Niemniej, NRF dostrzega perspektywę, otwierającą się w Centralnej Europie i Związku Radzieckim. Rozszerzając na Wschodzie swoje kontakty i handel, Bonn dąży przede wszystkim do normalizacji stosunków między obu państwami niemieckimi, do usuwania wrogoci i braku zaufania, mając na względzie własne bezpieczeństwo, oparte na nowych przesłankach.

Wśród pozostałych państw, członków i kandydatów na członków Wspólnego Rynku, niektóre z nich są z pewnością niezadowolone z ocieplenia, które nastąpiło po „zimnej wojnie”, ale, ogólnie rzecz biorąc, wszystkie widzą korzyści, płynące ze zwiększenia obrotów handlowych między obu częściami Europy. W handlu między Wschodem i Zachodem należy „oczekiwać” dużego wzrostu obrotów. Wymiana handlowa między krajami Wspólnego Rynku i siedmioma krajami Wschodniej Europy, która w przeciągu lat 1958—1970, czterokrotnie wzrosła, może się jeszcze podwoić do 1974 roku.

J. CZECH

Kultura na świecie

Czy fotografia jest sztuką?

„Zatrzymać ulotne odbicia lustrzane to nie tylko kwestia niemożliwości...”, ale nawet już sam zamiar uczynienia tego jest obrazem boską. Czy Bóg chciałby odstąpić od swoich prawicowych zasad i pozwolić, aby pewien Francuz w Paryżu wprowadził w świat wynalazek diabelskiego rodzaju? Ta inkwizytorska tyrańca pojawiła się w roku 1839 na łamach lipskiego pisma „Leipziger Anzeiger” jako reakcja na opublikowanie wiadomości o wynalazku fotografii przez Akademię Nauk w Paryżu w dniu 19 sierpnia 1839 roku.

Dwadzieścia trzy lata później w samym Paryżu dwudziestu sześciu malarzy ogłasza manifest, w którym protestują przeciw łączeniu w jakikolwiek sposób malarstwa z fotografią, tego „mechanicznego środka pozbawionego duszy”, jaki nie może być nawet porównywany z dziełami artysty, które to bowiem określono w manifestie — „są owocem inteligencji i znajomości sztuki”.

Horace Vernet, pejzażyista i marnyista widział w fotografii zgubę malarstwa. „To jest śmierć malarstwa!” — wołał zrozpaczony.

Przez dziesiątki lat, niemal

aż do naszych dni stawiano pytanie: „Czy fotografia jest sztuką?”. Ale pytanie to dzisiaj nie ma już żadnego sensu. Jest anachronizmem z czasów gdy istniały zależności fotografii od malarstwa i na odwrót. Dziś fotografia, wyspecyfikowana nie zagraża malarstwu, służy z równym powodzeniem sztuce jak i technice.

Ostatnio niemal równocześnie o początkach fotografii przyniósł interesujące materiały (i zdjęcia) francuski tygodnik „Paris-Match” i hamburski „Zeit Magazin”. Zainteresowanie początkami fotografii nie jest przypadkiem. W tym roku bowiem mija sto pięćdziesiąt lat od momentu, który uznać można za narodziny fotografii. Oto w roku 1822 Francuz Józef Nicéphore Niépce, litograf, pierwszy otrzymał trwały obraz — stołu nakrytego do codziennego posiłku. To pierwsze zdjęcie, które stało się początkiem, prymitywnej jeszcze, fotografii wykonane zostało na specjalnego rodzaju, światłoczułym asfalcie. W cztery lata później Niépce, naświetlając cynową blachę pokrytą tymże asfaltem uzyskuje obraz zatytułowany „Spojrzenie z okna”. Niépce

posługiwał się skrzynką z otworkiem tzw. „camera obscura”. Wynalazca współpracuje następnie z francuskim malarzem dekoratorem Ludwikiem Jakubem Daguerrem. W wyniku kilkuletniej, żmudnej pracy udaje się im wypracować pierwszą właściwą technikę fotograficzną, nazwaną od nazwiska Daguerre’a — dagerotypią. Materiałem światłoczułym jest teraz jodek srebra utworzony na powierzchni srebrnej płytki pod działaniem pary jodu.

Sposób otrzymywania dagerotypów zostaje ogłoszony drukiem i tłumaczony na wiele języków. W wielkich miastach niemal na całym świecie powstają atelier fotograficzne. Bogacące się w owych latach mieszczaństwo pragnie się portretować z większą niż dotąd dokładnością. O ile dawny portret bywał najczęściej dziełem wyidealizowanego, upiększającego modelu, teraz mieszczuch chce mieć dokument, portret ze wszystkimi szczegółami swej twarzy. A równocześnie, ci którzy nadal zamawiają portrety u malarzy, żądają obecnie od artysty większej dokładności i wierności w oddaniu szczegółów. By to uzyskać niektórzy z artystów, zwłaszcza miernych, wpadają na pomysł by najpierw zamówić fotografię modelu, a potem malować na niej farbami. Ci tzw. kolorysty zdają się zagrażać malarzom nie posługującym się podobnymi metodami i odrzucającymi je jako niegodne artysty. Niektórzy nawet z wybitnych

malarzy jak np. Ingres energicznie protestują przeciw rozpowszechnieniu się fotografii, inni jak Delacroix widzą w niej pomoc dla artysty, są dla niej pełni entuzjazmu. Delacroix sam fotografuje, a nawet zapisuje się do nielicznego jeszcze wówczas Francuskiego Towarzystwa Fotograficznego. On i Courbet zamawiają np. serie fotograficznych aktów kobiecych i według nich malują swoje obrazy. O tym jak z fotografii korzystał ilustrator i twórca plakatów, Alfons Mucha pisaliśmy dokładniej niedawno w „Kto, co, kiedy”. Pierwszym fotografowie, nie mogąc znaleźć jeszcze swej własnej drogi, trzymają się kurezowo wzorów malarstwa i jego zmieniających się kierunków. Wyraźne są np. wpływy malarstwa impresjonistycznego, które przemożnie oddziaływało na ówczesną fotografię. Impresjonizm zaś z kolei zawiązuje wiele fotografii. To pod jej wpływem malarze impresjoniści zdają dążyć do uchwycenia przelotnej chwili gdy refleksy słońca grają na przedmiotach i twarzach, to dzięki fotografii zwracają tyle uwagi na natężenie jasności barw, na nasycenie blaskiem powietrza, na słoneczne aureolki wokół głów modeli itp. Jeśli Mucha posługiwał się dość często w swej twórczości fotografiami jak szkicownikiem to z jeszcze większym dla siebie, i dla swego malarstwa, pożytkiem czynił to Degas. Zamilowany w fotografię, Degas wyrobił sobie dzięki niej

ogromną spostrzegawczość i wrażliwość na błyskawiczne gesty tancerki czy kolejne ruchy galopujących koni.

Fotografia długie jeszcze lata pozostawała pod urokiem impresjonizmu, lubując się w „malarskości”, mgiełkach, tak przecież typowych dla malarstwa impresjonistycznego, w łagodnych światłocieniach, nieraz miękkih konturach przedmiotów czy architektury w krajobrazach naturalnych i miejskich. I dopóki pozostawała pod urokiem malarstwa, dopóty trwał spór o to czy jest ona sztuką.

W numerze „Paris-Match” wspomnienia o początkach fotografii znajdujemy m. in. reprodukcję pierwszego, historycznego zdjęcia martwej natury, dokonanego przez Niépce’a. Ale naprawdę zaskakuje nas reprodukcje kolorowych zdjęć z samych początków naszego wieku. Wydaje nam się wprost nie do wiary, jakie piękne efekty fotografii barwnej potrafiono osiągnąć blisko siedemdziesiąt lat temu. Przypomnijmy, że fotografia kolorowa, jako zasada została wynaleziona przez Francuza Louisa Ducois de Hauron w roku 1869. Była to dość skomplikowana technika zwana autochromem, która przetrwała do 1945 roku, a polegała m. in. na naświetlaniu warstwy światłoczułej poprzez raster, składający się z ziarenek skrobi o trzech zasadniczych barwach. M. in. brać Louis i August Lumière, którzy przeszli do

historii jako ci, którzy stworzyli podwaliny sztuki filmowej, posługiwali się autochromem z wielkim mistrzostwem. Album rodzinny Lumière’ów jest zbiorem kolorowych zdjęć, z których kilka reprodukuje właśnie wspomniany numer tygodnika „Paris-Match”.

Reprodukcje zaś z najstarszego albumu fotograficznego świata przyniósł „Zeit Magazin” (tygodniowy dodatek do dziennika „Die Zeit”). Album należał do francuskiego urzędnika bankowego Hippolyte’a Bayarda i powstał w latach 1830—1839. Zawiera ciekawe próby uzyskiwania obrazów domów i krajobrazu, utrwalanych w formie pozytywów na papierze fotograficznym sporządzonym przez samego Bayarda. W albumie znajdują się też odbitki stylkowe (bez użycia kamery) kawałków materiałów tekstylnych i próby uzyskiwania podobnych obrazów z pomocą kamery. Dalej napotykać można próby mniej lub bardziej udane, zdjęć przedmiotów nieruchomych jak kwiaty, figurki porcelanowe i krajobraz. Bardzo dobre, jak na owe czasy, jest zdjęcie pochodzące z ok. 1842 r., wiatraków na Montmarie, naświetlane bezpośrednio na papierze i wreszcie w owym pierwszym albumie fotograficznym świata znalazły się autoportrety samego Bayarda, tego zapomnianego już dziś współwynalazcy fotografii.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZECIEŻNIEJSZOŚĆ

Wydawanie pamiętników

Pamiętnik jest dla historyka źródłem o podwójnej wartości informacyjnej, dostarcza bowiem wiadomości zarówno o wydarzeniach będących przedmiotem pamiętnikarskiej narracji, jak o jej autorze i jego świecie. Nauka historyczna nie jest dziś skłonna do przeceniania pierwszego z tych aspektów i odtwarzając proces dziejowy chętniej korzysta z innych rodzajów źródeł, mniej zsubiektywizowanych a w każdym razie takich, których subiektywizm łatwiej ustalić i zwerifikować. Pamiętnik pozostaje jednak nadal bezcennym, choć rzadko kiedy jedynym źródłem informującym o świecie pojęć i przeżyć jego autora i tutaj jego nieunikniony subiektywizm, który historyk kontroluje odwołując się do innych przekazów, przydaje mu jedynie wartości.

Wcale często zdarzają się jednak sytuacje, że ważne wydarzenia dziejowe, którymi interesuje się historyk, nie posiadają innej dokumentacji, jak zapis pamięt-

nikarski. Odnosi się to nie tylko do zdarzeń dawnych, ale nowszych i najnowszych: ileż to razy ważkie decyzje, zwłaszcza te, które wymagają pośpiechu, bywają podejmowane ustnie, bez utrwalenia ich na piśmie? Nieuchronne przyspieszenie tempa ludzkiego życia sprawia, że trudno się spodziewać, by w przyszłości mogło być inaczej. Czyżby więc przyszłość miała nam przynieść... renesans pamiętnika, jako zapisu zdarzeń, gdzie indziej nie zanotowanych?

Pamiętnik spoczywa w szufladzie, dociera do archiwum i biblioteki, czasem — i to wcale nie rzadko — bywa ogłaszany drukiem. Zrozumiałe są niepokojące historyka Witolda Jakóbczyka, który na łamach „Pamiętnikarstwa Polskiego” (Nr 1/1972) zwraca uwagę na niedostatki edycji tego rodzaju źródeł. Zbyt często są one wygładzane i przyprawiane przez wydawców tak, że czytelnik dostaje do ręki produkt absolutnie bezbarwny, pozbawiony

indywidualnych cech pisarstwa pamiętnikarza, ale za to... arcyprzeciętnie poprawny. Historyk uważa za wzorowe opracowanie słynnego pamiętnika Jakuba Wojciechowskiego, którego przed laty podjął się (1930) Józef Chalasiński i wzywa dzisiejszych edytorów do naśladowania tego wzoru. Ale pomimo wszystkich swych zalet — przede wszystkim uczynienia tekstu bardziej komunikatywnym — edycja ta ma także swoje wady: poprawiając, wprowadza tylko w zakresie pisowni i interpunkcji, tekst oryginalny zatracił znaczną część językowych osobliwości oryginału, mogących przecież stanowić przedmiot zainteresowania badacza — językoznawcy. Uprzymiarniamy sobie to zwłaszcza dziś, kiedy autograf pierwszej, wydanej przed wojną części pamiętnika J. Wojciechowskiego już nie istnieje...

Franciszek Jakubczak, redaktor naczelny „Pamiętnikarstwa Polskiego”, który w tym samym numerze pis-

ma dyskutuje z W. Jakóbczykiem, broni wprawdzie zakwestionowanych przez historyka zasad edytorskich, przyjętych przy wydaniu pamiętnika Marcejjany Fornalskiej, przecież jednak nie kwestionuje, że na ogół po II Wojnie Światowej „kultura edycji pamiętników robotniczych i chłopskich uległa niepokojącemu obniżeniu”. Czy tylko tych? Jakubczak stwierdza przy tym, że „jednym z najczęściej występujących błędów jest tutaj właśnie niemal całkowite niwelowanie gwarowo — porzekadłowego autentyzmu języka pamiętników”. To prawda, ale historyk mający do czynienia ze znacznie szerszym wachlarzem źródeł pamiętnikarskich, dorzuciłby tu garść innych, nie mniej ważkich zarzutów, do których postawienia uprawniana go jest własne warsztatowe doświadczenia.

Nie chodzi mu tylko o te ingerencje wydawców, które mają charakter językowy, chociaż szlag go trafia, gdy w pamiętnikach robotniczych z lat dwudziestych czy trzydziestych naszego stulecia odnajduje żargon propagandowy z czasów, kiedy je wydawano, niechybnie od redaktorskiej proveniencji. Chodzi mu jednak przede wszystkim o ingerencje natury merytorycznej. Prawda, że zdarzały się one chyba zawsze, że i Julian Ursyn Niemcewicz często wprost preparował teksty wydawanych przez siebie źródeł po to, by były one bardziej „wymowne”, że i Józef Kraszewski, publikując pamiętniki, pomijał

bez skrupułu nie obchodzące go informacje o... sprawach gospodarczych. Ale czy podobne praktyki powinny się powtarzać w naszych czasach?

Wzmyślnie tłumaczenia pamiętników różnych mężów stanu z okresu II Wojny Światowej: w iluż z nich redaktorzy pousuwali całe ustępy? Przecież historyk, choć jest nieufny do wniosków z milczenia źródeł, jeżeli stwierdza, że jakaś osobistość, która musiała być poinformowana o takich czy innych wydarzeniach, pomija je milczeniem w swym pamiętniku, ma prawo wyprowadzić jakiegoś wnioski co do jego poglądów, postawy itd. Nie mówię już o zwykłym preparowaniu tekstów ad usum delphini w rodzaju tego, który przed kilkoma laty napietnowała radziecka prasa historyczna, w najostrejszych słowach oceniając wydawnictwo źródłowe, w którym słowo „mieszewicy” zastąpiono... jego polityczną odwrótnością. Nie mówię już o curiosum, o którym pisał niedawno radziecki badacz najnowszych dziejów ZSRR prof. Strielickij w zarysie źródłoznawstwa historii okresu radzieckiego. Podał on mianowicie przykład hochsztaplera, który dokonał zaiste podziwu godnego dzieła: napisał swój rzekomy pamiętnik, w którym opisał szczegółowo swoją mniemaną działalność rewolucyjną w dawno już ubiegłych latach, w bardzo odległych stronach kraju. Jegośmiałość zrazu potraktowano serio, pamiętnik ogłoszono drukiem, a facet pew-

nie dostał jaką rentę. Pech chciał, że jego dziełem zainteresowali się historycy, którzy wykazali, że cała sprawa jest kolosalnym bluffem. Tak czy owak ów jegomość przeszedł jednak do historii, skoro opowiada się o nim na uniwersyteckich wykładach...

Nie jesteśmy naiwni i wiemy, że nie wszystkie cenne materiały historyczne, zwłaszcza dotyczące dziejów najnowszych, można od razu ujawniać w całości: nie pozwala na to często kontrowersyjność problemów, które nie w pełni przeszły do historii. Nie jesteśmy też dziećmi i nie będziemy protestować przeciw temu, że w takich wypadkach i u nas, i na całym świecie, źródła takie ogłasza się zwykle w fragmentach. Ale mamy prawo żądać od wydawców, aby wyraźnie zaznaczali swoje ewentualne ingerencje, opuszczenia itd. tak samo, jak wymagamy od nich choćby skromnego aparatu komentatorskiego. Od przyznania się, że coś tu i ówdzie z tych czy innych względów zostało opuszczone, korona nikomu z głowy nie spadnie; niezrealizowanie zaś tego skromniutkiego postulatu wiedzie prostą drogą do fałszu. A tego powinniśmy się wystrzegać jak ognia. Pomimo wyraźnej poprawy, jaką obserwujemy w tym zakresie w ostatnich latach — przykładem serie pamiętnikarskiej PWN, Ossolineum czy PAX-u — wiele jest tu jeszcze do zrobienia.

LEKTOR

Zdarzenia i zwierzenia

DRAŻLIWOŚĆ NASZA POWSZEDNIA

Niedawno w paryskim „Le Figaro” znalazł się wywiad z Françoise Sagan — głośną autorką „Witaj smutku”, „Pewien uśmiech” — książek, które w początkach lat pięćdziesiątych czytano w całej Europie.

Pierwsze pytanie, jakie zadał Saganie przedstawiciel paryskiego dziennika, brzmiało: „Dlaczego pani tak długo zwlekała z napisaniem książki, którą narzeszcie można uznać za interesującą?”. Mówiąc dialogami polskiego filmu, nad

Wisłą za takie pytanie bije się w mordę.

A nad Sekwaną? Otóż Saganka odpowiedziała: „Wie pan, myślę, że chyba dlatego, że się postarzałam, że więcej zaczynam rozmyślać...”. Słowem — nie obraziła się, nie wyrzuciła dziennikarza za drzwi, nie napisała protestu do redakcji, ani skargi do prezydenta Pompidou...

U nas, nad Wisłą, jesteśmy bardziej drażliwi, wszędzie wjemy napaść na naszą godność, nasz ho-

nor i bardzo nie lubimy żartów. Tak to procentuje u nas szlachetnie „miarkuj się waść, z kim gadasz”. Przeciwnie niż nad Sekwaną, gdzie pocuciem humoru i widzeniem spraw we właściwych proporcjach procentują Wolter i Rewolucja Francuska.

Niedawno w „Prasie Polskiej” pewna pani poczuła się dotknięta sposobem, w jaki dziennikarze są przedstawiani w filmie. Co prawda pani ta píše, że za jednego wydrwionego strażaka nie może się poczuć dotknięta cała straż pożarna, ale jednak... czuje się dotknięta za te głupie i pyszałkowane marionetki, grające w filmach dziennikarzy.

Nadmiar drażliwości nieporęczny i śmieszny, jeśli się zważy, że mamy tu do czynienia z konwencją starą i banalną. Czym się tu denerwować? Gdy twórca przelamuje ową zwierzalą

konwencję, powstaje głęboki i prawdziwy film, jak choćby radziecki „Dziennikarz”.

My jednak wolimy być drażliwi, wpadać w irytację i obrażać się.

Julian Tuwim pisał jeszcze w 1936 roku:

„O film, panie ministrze, obrazili się wachmistrzy; o wiersz, panie generale obrazili się kaprale (...). Dalej księża z Plockiego dotknęli się do żywego. Następnie szewcy w

Kutnie obrazili się okrutnie”.

Wybuch drażliwości przewidzieć trudno. Wystarczyło, że pewien łódzki recenzent napisał o aktorze M., iż źle zagrał rolę, aby aktor napisał z kolei oburzonego list do redakcji i spowodował protest oficjalny swojego związku zawodowego. Drażliwość przybiera bowiem także formy instytucjonalne.

Michał Sprusiński napisał w „Literaturze” parę krytycznych uwag na marginesie pewnego wstępu do dzieła Jeana Plageta. Autor wstępu odpowiedział Sprusińskiemu esejem kilkakrotnie przekraczającym rozmiary uwag krytyka. Autor wstępu obraził się i uznał krytykę za paszkwil i napisał o miernych walorach intelektualnych, naukowych, językowych i stylistycznych. Żeby już nie było wątpliwości, dodał, że to wszystko jest na niskim poziomie i dyskutować nie warto. Ale to już dodał na koniec dyskusji.

W tym samym numerze „Literatury” ktoś inny obraża się, że w jakimś tam artykule młodego autora zbyt wysoko oceniono literackie pokolenie Kolumbów, a zbyt nisko Staffa i Dąbrowską. No to co? Czy opinia literacka ma funkcjonować wg okólnika nr... lama-

ny przez...? I w ogóle co za problem?

Ale problem, niestety, istnieje i nazywa się „drażliwość nasza powszednia”. W codziennych kontaktach sportykamy się z nią także — a najlepiej zilustrował to Antoni Słonimski. Stał obok niego taki jeden drażliwy, więc Słonimski powiada:

— Niech pan usiadzie?

— Co to znaczy, usiadzie? Chcesz pan może powiedzieć, że ja się ledwo trzymam na nogach, że nie mogę stać?

— Nie podobnego. Jak pan woli stać, to proszę bardzo, niech pan stoi.

— Pan mnie prosi, żebym stał? A co to, pan jest generał, żebym stał przed panem na baczność???

— Jak widać, na drażliwych rady nie ma. Złazszcza, że stanowią większość.

WIDOK

Lewym okiem

Gdy Szwedzi nie patrzą

Czytałem niedawno w „Przekroju” wypełniony oburzeniem list czytelnika, który wracając ze Szwecji wsiadł do ekspresu „Wawel” w Świnoujściu aby dojechać nim do Krakowa. Czytelnik opisuje brud, ohydę i niechlujstwo w „Wawelu” i oburza się tym wszystkim do żywego, bo pociągami jadą Szwedzi i oto jaki mają obrazek na samym wstępie swego w Polsce pobytu!

Rozumiem tę motywację oburzenia, sam w takiej sytuacji wstydzilibym się za cały kraj, trudno, musi tak być, kiedy ktoś czuje się

tego kraju cząstką, reprezentantem, dożywożym udziałowcem. A jednocześnie szlag trafia człowieka na myśl, że jeszcze tylko taką motywacją może być choć do słuchania się da nakłonić: panowie, Szwedzi patrzą! Panowie, jak my wyglądamy!

Wciąż najważniejsze wydaje się to właśnie, żeby „wyglądać”, żeby się pokazać, żeby firanki w tym jednym gościnnym pokoju były czyste i żeby pani domu miała uśmiech na twarzy, gdy ludzie patrzą. A takich „Waweli” jeździ po kraju tysiące, o takich są-

mych zaplutek podłogach, nieczyściwalnych, zalanych po kostki ubikacjach, urwanach klamkach i żarówkach. Ty, le, że bez Szwedów.

Cieężko pisać o takich strasznych i głupich sprawach, jak ubikacje, w kraju zawodackich urzędników, bardzo ważnych dyrektorów, niedocenionych geniuszy i uduchowionych artystów. Od czasu do czasu ktoś zabierze głos w tej sprawie, nikt tego nie przeczyta, nie się nie zmieni, ohyda pleni się dalej. Powiedział ktoś — Urban czy Hamilton — że takie pisanie powinno być niedozwolone, że nie ma sensu, że jest głupie — bo nie wskazuje palcem winnych, przynajmniej instytucji, jeśli nie osób, bo nikt tego do siebie nie weźmie. Pisać głupio i zmilczeć trudno. Kogo by tu wskazać, żeby się Szwedzi nie śmia- li?

Czytelnik „Polityki” wskazał instytucję chyba wyrażnie: Polskie Koleje Państwowe. Ale PKP na takie głupstwa ani na nie w o-

góle nie reagują. Tym razem może będzie odpowiedź, bo wskazano numer wagonu i datę podróży. Będzie odpowiedź, że konduktor tego konkretnego wagonu otrzymał wytknięcie, chociaż co do papieru, leżącego w kałuży na podłodze, zarzutu nie da się udokumentować. Nie sposób jednak pisać z osobna o wszystkich wagonach, wszystkich pociągach, a oprócz tego — o wszystkich dworcach i stacjach PKP. Tu nie o incydent chodzi, nie o Stasia, konia, drzewo, tylko o zagadnienie, o problem, coraz bliższy cywilizacyjnego dna.

Modny jest temat ochrony środowiska. Powołuje się ludzi i urzędy odpowiedzialne za to, żeby śmiejących ścieków nie spuszczać do rzek, a śmiejących dymów — w powietrze. To może by na tej samej fali nagrać ochronę naszych nosów i naszych elementarnych wyborzeń o kulturze (takiej kiedy ludzie nie patrzą...), może by tak — o horror! — nie bać się nie wstydzili i powołać jeszcze

jednego Pełnomocnika Rządu: do spraw podniesienia stanu urządzeń sanitarnych w kraju?

Piękne są łazienki w polskich filmach, w pięknych łazienkach wyginają się piękne, nagie, polskie dziewczyny. Dziewczyny takie widziałem i w życiu, takich łazienek — nie. W prawdziwych łazienkach suszy się majtki — no bo gdzieś trzeba je suszyć, a pomieszczeń do tego celu nie ma w żadnym nowym domu. W łazience stoi kosz z brudną bielizną, na ścianie wisi rower syna, na drugiej ścianie wianienka dla niemowlęcia, która jeszcze może się przydać. W łazience albo nie ma ciepłej wody, albo leci ciurkiem bez przerwy; palnik gazowy albo się nie zapala, albo nie da się zgasić. Przynajmniej nie ma, bo się zużył, a nowych w sklepach nie sprzedają. Takich łazienek widziałem „zbyt dużo, jak na życie jednego pokolenia”.

Kłóskó w z piwem jest stokroć więcej, niż szaleństw. Szaleństwa zamyka się o

śmiej, kłóski urzędują letnią porą do dziesiątej.

W szaleństwach przejście pomiędzy częścią męską a damską otwarte jest gościnnie na obie strony, żeby wykonać swój plan obrotów. Znam też przybłki, w których obie części oddziela tylko powiewna firanka, nader przepuszczalna dla efektów dźwiękowych. Gdyby tam zabłądził jakiś Szwed, co? (Wciąż, jak widziacie, wracam do Szweda, jako najsilniejszego argumentu).

Albo tak: urządził symposium szalełości i pisarstwa. Kilkaś takich sympozjów. Coraz to w innym mieście czy powiecie. Przynajmniej na taką okazję coś się wybieli, wypucuje, wychloruje, zawiesi łańcuszki, papierki, światełka, przybije zawiaski, przykręci śrubki i zasuwki. Przynajmniej na jakiś czas. A potem — o nadziejo! — może się to ludziom spodoba i będą tak chcieli zawsze? **CWIEK**